

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 23 LIPCA 1927 ROKU

NR 30

TREŚĆ NUMERU: Trzeba zapobiec klęsce! — *Dr. Herminja Naglerowa*. Najmłodsze pokolenie amerykańskie — *Róża Czekańska-Heymanowa*. Wiersze: „Biały Dom“, „Ryby“, „Sąd klasztorny“ — *Wiktoria Rymwid-Mickiewiczowa*. Kaczęta (powieść) c. d — *W. Miłaszewska*. Plantator z Malaty (dok.) — *J. Conrad*. Nowa królowa rakiety — *W. na*. Przyjazd dzieci z Niemiec, Gdańska i Górnego Śląska na miesiąc wakacyj do Polski — *Aniela Waldenbergowa*. Kobieta w świecie i w domu — *R. C. H.* Odpowiedzi redakcji. Z teatrów — *S. P. O.* Słów kilka o ceramicie polskiej — *Iza Czajkowska*. Historia chleba i dzisiejsze od niego wymagania (dok.) — *M. Szadurski*. Kobieta nowoczesna — *Dr. J. K.* Krok naprzód — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“: „Deux pièces“ — *Well*. Parasolki — *J. S. F.* Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony“ (dok.) — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł.* „Poławiacz dusz“ — *Douglas Golding* autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej*. Arkusz wzorów

TRZEBA ZAPOBIEC KLĘSCIE!

Tak zwana kwestja kobieca przechodzi dziś do kategorii walki o byt. Zwolna zanikają cechy ideowe, coraz mniej mówi się o prawach człowieka, o wyzwoleniu się z niewoli ducha, — kobieta stanęła na równi z innymi do walki o byt. Dziś musi więc uczestniczyć w tej walce cały ogół kobiecy, musi przygotować się i odpowiednio uzbroić do ciężkich zapasów o chleb powszedni. Nie wystarczy już, że awangardowe jednostki noszą wysoko sztandar swoich zdolności, fachowości, talentów i ambicji. Trzeba, aby szeroka masa kobiet odczuła wreszcie odpowiedzialność za siebie samą i pojęła, że jest ważnym i koniecznym czynnikiem w wspólnej pracy społeczeństwa.

Nie wolno nam ukrywać, że ogół kobiet nie zdaje sobie z tego sprawy i że wcale, albo bardzo mało przyczynia się do ułatwienia walki o stanowisko kobiety. Nie widzimy, zwłaszcza wśród młodych kobiet, wytrwałego wysiłku i poważnego odnoszenia się do pracy. Raczej daje się zauważyć obniżenie poziomu, osłabienie energji, czy nawet lekceważenie, z takim trudem osiągniętych, zdobyczy społecznych i politycznych.

A przecież walka o prawa i stanowisko kobiety nie jest jeszcze całkowicie rozegrana. Nasza sytuacja nie jest jeszcze ustalona. Gdy nie będziemy iść naprzód — cofniemy się. Gdy nie będziemy wносить nowych, wartościowych elementów do wspólnego dorobku — staniemy się zbędne wobec ciężkiej konkurencji pracy. Długowiekowa tradycja naszej „niższości“ znajdzie wtedy aż nazbyt łatwo udowodnienie w skrzęt-

nych statystykach. Rzucają nam w oczy druzgocącą prawdę cyfr!

Powiedzą nam: Obniżacie poziom wyższych uczelni; zabieracie niepotrzebnie miejsce na uniwersytetach, nie kończąc studjów; wasza praca jest dyletancka; wasza praca jest niedokładna; nie macie inicjatywy; jesteście, conajwyżej, miernymi wyrobnicami.

Takie i tym podobne „komplementy“, poparte oczywistymi faktami, powiedzą nam ci, których miejsca zajęłyśmy w biurach, czy w wolnych zawodach. A my będziemy musiały milczeć i uznać naszą porażkę, odniesioną w próbie sił. Bo należy pamiętać, że dziś właśnie odbywa się owa próba sił, że dziś zdajemy niejako egzamin kwalifikacyjny! Przyczem, doprawdy, nie możemy liczyć na niczyją względność. Nie możemy i nie chcemy.

W walce o byt, wśród współzawodnictwa o każdą placówkę, najpewniejsze zwycięstwo daje — fachowość. W każdym zawodzie, w każdej pracy ujawnia się konieczność nieomylnych wiadomości i poważnego odnoszenia się do wykonywanego zadania. Tymczasem widzimy, że młodzież żeńska, mimo całkowicie zmienionych warunków życia, nie zawsze traktuje swoją pracę, jako cel, lecz aż nazbyt często nadaje jej piętno przejściowości. Dzieje się to dlatego, że zawsze jeszcze młoda dziewczyna widzi w małżeństwie tę ostateczną, a w miarę wygodną, przystałą materjalną, która wyzwoli ją od obowiązku pracy zarobkowej. Stąd wytwarza się brak przywiązania i po-

bieżność w przygotowywaniu się do pracy i zawodu. Bo i po co brać te sprawy tak poważnie, skoro to tylko na parę lat?..

W takim nastroju „przejsiowości“ pracy utrzymuje dziewczynę przedewszystkiem środowisko, dom. Od najwcześniejszej młodości zacieśniają horyzont dziewczyny tym, możliwie najbliższym, celem, jakim jest małżeństwo. Mimo pozorów, nic się pod tym względem nie zmieniło w poglądach; niczego też nie nauczyło doświadczenie ostatnich lat, że przecież i ta zameżna kobieta musi dziś pracować na utrzymanie domu.

A jeżeli, mimo wszystko, dziewczęta się uczą i przygotowują do zawodów, to jest to raczej sprawa mody, snobizmu, lub, conajwyżej, liczenie się ze „smutną“ ewentualnością nie wyjścia za mąż.

Oczywiście — są wyjątki, może nawet bardzo dużo wyjątków. Ruch kobiecy nie może się, jednak, oprzeć tylko na wyjątkach. Cały ogół kobiet musi swoją postawą i zrozumieniem ciężącej na nim odpowiedzialności zaświadczyć, że skoro żądamy równych praw, dajemy wzamian społeczeństwu conajmniej równowartościową pracę i równowartościowy wysiłek energii. Jest to zasada wszystkich układów społecznych, opartych na demokratycznej idei równości wobec prawa.

Z zasady tej wyszły także pierwsze bojowniczkim o równe prawa dla kobiet i dlatego tymczasowość, która dziś cechuje pracę większości kobiet, wyrządza nieobliczalne szkody samej sprawie. Podważa bowiem faktyczną wartość argumentacji i kontrargumentacji, dowodzących, że współpraca kobiet przynosi społeczeństwu pewne walory. Ponadto, stwarza zastępy mało wartościowych pracowniczek-dyletantek. Gdy dopóki te kobiety będą swoją pracę traktowały, jako malum necessarium, jako stan przejściowy, dopóty rezultat będzie zawstydzająco ubogi.

Dyletantyzm, ten największy szkodnik społeczny, wypływa, jak nie trudno zrozumieć, z pobieżnego przygotowania się i ze snobistycznego, niepoważnego traktowania wziętego na siebie zadania. Nic łatwiejszego, aby większość kobiet wpadła w dyletantyzm, skoro praca i zawód przestają być celem, a są obliczone tylko na okres tymczasowy. Nie chcę iść aż tak daleko, by taki stosunek do obowiązków nazwać — nieuczciwym. Sądzę, że u kobiet jest to raczej brak uświadomienia i dlatego właśnie zajmujemy się tą nieprzyjemną sprawą, by zawczasu zwrócić na nią uwagę i zapobiec — klęsce.

Niemniej też winna tu jest bierność ogółu kobiet, bierność, która przechodzi już z wolna w apatię. Słyszmy, na przykład:

— Poczóż się uczyć i walczyć, skoro i tak trudno kobiecie zdobyć stanowisko, odpowiednie do jej stopnia wiedzy i zdolności?

— Poczóż dążyć i rozbudzać ambicję, gdy się zawsze zostanie tylko pionkiem, w cieniu ukrytą wyrobnicą?

Tak jednak rozumować nie wolno! Nie wolno obracać się w błędnym kole, z którego niema wyjścia na nowe zwycięstwa i nowe zdobycze!

Walka o byt jest wieczna, a rezygnacja musiałaby być jednocześnie — rejeradą. Przyznaniem się do słabości. Tymczasem niema podstaw do tego, by kobiety skapitulowały ze swoich dążeń i postulatów. Trzeba tylko poddać dokładnej rewizji swój wewnętrzny stosunek do sprawy, którą nazywamy ruchem kobiecym.

Dotychczas ruch ten szedł naprzód, dzięki bojowej awangardzie, dziś jednak, gdy zdobyto już tak wiele, gdy utworowano drogę, zwalivszy zapory przesądów, cały ogół kobiecy ma obowiązek wytrwania. Bo, z jakim czołem będzie mogła dalej walczyć awangarda, gdy szerokie masy zadadzą kłam jej słowom?

Szczególnie leży nam na sercu dzisiejsza młodzież żeńska: Ona to właśnie weźmie w spadku dalszą akcję ruchu kobiecego i ona może doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa sprawiedliwą zasadę równości. Lękam się jednak, czy wychowuje się ją w zasadach poważnej pracy, w zasadach równego obowiązku wobec społeczeństwa. Z moich obserwacji mogę wyciągnąć raczej pesymistyczne wnioski.

Bądźmy jednak sprawiedliwi i przyznajmy, że dziś młodzież obojga płci ma nieco łatwiejszy i lżejszy stosunek do zagadnień, ekscytujących dzisiejsze społeczeństwo dorosłych. Może więc to, co dziś jest walką, jutro będzie zmienione w samo przez się rozumiejący się sojusz, w pokojową, zgodną współpracę; a łatwość dostępu kobiet do każdej pracy i do każdego stanowiska usunie bierność i apatię, która, jak wykazaliśmy, jest często powodem owej dyletanckiej pobieżności. Niemniej przeto wskazane jest stosowanie innej metody pedagogicznej w wychowywaniu dziewcząt. Niech dom i rodzina nie sugeruje im bezustannie, że praca i zawód, któremu się dziewczyna poświęca, jest tylko czemś, co powinno zapełnić okres czekania na męża.

Dr. Herminja Naglerowa.



RÓŻA CZEKAŃSKA-HEYMANOWA

NAJMŁODSZE POKOLENIE AMERYKAŃSKIE

Nie możemy zamykać oczu na fakt, że Europa w szybkim tempie amerykanizuje się. Wpływy Nowego Świata przenikają do nas całą siecią kanałów politycznych, ekonomicznych i społecznych... Kultura amerykańska, nie przefiltrowana przez bogate złoza naszych wiekowych tradycji, bardziej prosta, łatwa do asymilowania, — niezwykle trafnie daje się przystosować do europejskiej psychiki powojennej. W dobie obecnej narody szybko zdają się zapominać o tem, jak myślały, czuły, jakimi zasadami kierowały się przed rokiem 1914-tym; dziś w wielu dziedzinach życia operują one wręcz odmiennymi kategorjami, — kategorjami, łądząco zbliżonemi do amerykańskich.

Radjo, kino, — drwiąc z czasu i przestrzeni, — zbliżyło nas do Ameryki, wszechwładny dolar uzależnił nas od niej, — słowem, amerykanizujemy się.

Bawiąc w ubiegłym roku przez czas pewien w Nowym Yorku, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nagle zostałam przeniesiona o szmat czasu naprzód, że dzisiejsza Ameryka jest obrazem przyszłej Europy, że kiedyś ulice europejskie będą wyglądały tak, jak terażniejsze amerykańskie, że wkrótce nauczymy się tutejszych metod pracy, że ludzie Starego Świata zapomną swojej starej kultury i staną się podobni do amerykań. Jeśli moje wrażenie choć w drobnej części było trafne, to ciekawe niezmiernie jest wiedzieć, jakim jest obecne najmłodsze pokolenie amerykańskie i zadać sobie pytanie, czy nasze polskie dzieci nie stają się do niego podobne. Posłuchajmy, co o dzieciach amerykańskich mówi znany pisarz Chester Crowell, na łamach nowojorskiego miesięcznika: „The American Mercury“.

Chester Crowell jest ojcem pięciorga małych dzieci, posiada więc we własnym domu ciekawe pole do obserwacji nad najmłodszym pokoleniem amerykańskim, już to w osobie dzieci własnych, już to wśród ich małych przyjaciół i przyjaciółek. Dowiedzmy się, jak się rozwija, co myśli i jakim jest nowoczesne dziecko w Ameryce.

„Pewnego popołudnia, — pisze Chester T. Crowell, pozostałem w domu sam jeden z moją najmłodszą pięcioletnią córeczką Cathleen. Mała miała chęć pobawić się ze mną; gdy jednak usłyszała, że piszę na maszynie artykuł do gazety, za który będę mógł jej sprawić nowe pantofelki (dla niej, tylko dla niej), uspokoiła się i czekała poważnie, aż ukończę pisanie. Po godzinie przerwałem pracę i w nagrodę za cierpliwe czekanie, zacząłem opowiadać dziecku bajkę. Sięgnąłem do repertuaru, słyszanego niegdyś we własnym dzieciństwie, oczywiście do opowieści Grimma i An-

dersena. Mała słuchała uważnie, gdy jednak opowiadanie moje wkroczyło w dziedzinę czarów i rozkosznego nieprawdopodobieństwa, roześmiała się. „Nie mów głupstw“ — przerwała mi, — „to niemożliwe; opowiedz co innego“. Zacząłem o szklanej górze, czy też o czapce-niewidce... Przerwała mi znów: „takich rzeczy niema na świecie, dlaczego więc zmyślasz? zresztą i ja potrafię coś wymyślić, choć wiem, że to nieprawda, posłuchaj: razu pewnego mysz powiedziała swemu szoferowi“...

Pogląd małej Cathleen na dziedzinę bajki i fantazji podzielają wszyscy jej rówieśnicy. W czasie świąt Bożego Narodzenia Santa Claus (nasz św. Mikołaj) staje się wprawdzie przedmiotem rozmów i zabawy, dzieci jednak stale podkreślają, że dzieje się to tylko „na niby“ i że nie wierzą w jego istnienie. Najmłodsze nasze dzieci, — mówi dalej Chester Crowell, wierzą tylko w to, co realne, co widzą w naturze, lub na obrazku. Cathleen wierzy, np., w istnienie renifera, którego wizerunek posiada w książce z obrazkami; jednak zwierzę, widziane przez nią w ogrodzie zoologicznym, sprawiło na niej duże wrażenie. Tutaj przypominam sobie, że niedawno w Paryżu matka małego francuzika opowiadała mi następujący fakt. Jej pięcioletni synek posiada książkę z obrazkami: na jednym z nich widnieje słoń. Tuż nad słońcem rysownik umieścił indyka w ten sposób, że zlewał się prawie w jedno ze słońcem. Kiedyś mały Jean Luc, zaprowadzony do Jardin d'Acclimatation, ujrzał poraz pierwszy w życiu żywego słońca. Spojrzał, a potem krzyknął, zaniepokojony: „to nie jest prawdziwy słoń, nie rośnie na nim indyk“!

Małe dzieci amerykańskie nie wierzą w duchy, a nurse ich, pragnąc je nastraszyć, nadaremnie opowiada im bajki: nie udaje się jej wywołać w nich dreszczu przerażenia. Dzieci, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to wiedzą, wiedzą jednak, że te wszystkie strachy to czysty „bosh“, wymysł. Świadomość ta unosi się, niejako, w powietrzu. Skąd ją nowoczesne dzieci czerpią, pozostaje tajemnicą.

Któregoś dnia Chester Crowell słyszał z drugiego pokoju, jak jego sześcioletni synek opowiadał młodszej siostrze, w jaki sposób świat stał się takim, jakim jest obecnie. „Najpierw“, — mówił chłopczyk, — „były na ziemi tylko ogromne bagna, porośnięte trawą; z trawy tej powstały potem drzewa“. — „A co ludzie jedli wówczas na obiad?“ — zapytała Cathleen. — „Niema! dre pytanie! ludzi nie było: zjawili się oni dopiero wtedy, kiedy na drzewach urodziły się kokosowe orzechy; wtedy przyszli i zaczęli je zjadać“.

— Prawdziwy wykład o teorii ewolucji,—pomyślał ojciec. Gdzie dziecko mogło o tem słyszeć? chyba nie w szkole; oczywiście, gdzieś o tem słyszało... Tak pojęcia, za które ludzie płacili niegdyś własnem życiem, teraz wdychamy niejako razem z powietrzem. W Ameryce dotychczas w niektórych stanach, zabroniony jest w szkołach wykład o ewolucji. Czyż to nie śmieszne? Każde dziecko farmera, patrząc na selekcję nasion i łączenie w pary zwierząt, widzi ową teorię, sprawdzającą się w życiu; widzi i wie, że jest ona prawdą, a tymczasem w szkole powiadają mu coś zupełnie odmiennego,

Dzieci, czytające już samodzielnie książki, odnoszą się z pogardą do bohaterów w rodzaju Achillesa, który może być raniony tylko w piętę, lub do takich, co noszą na sobie zbroję, zabezpieczającą ich od ciośów. — „To nie jest „fairy play“, — mówią, — „wszak szanse zawodników stają się w ten sposób nierówne“.

— Przyznaję ze wstydem,—powiada Chester Crowell, — że chłopcy mojego pokolenia bezkrytycznie zachwycali się podobnymi bohaterami. Czy byliśmy mniej uczciwi, czy też tylko mniej samodzielni w sądach, a co za tem idzie, — mniej inteligentni? Dzisiejsi chłopcy lubią czytać o walkach i czynach wojennych, opowiadania tego rodzaju muszą jednak posiadać wszelkie cechy prawdopodobieństwa i rozgrywać się w środowisku, znanem im choć ze słyszenia, jak indjanie, bokserzy, cowboye i t. p. Broń, którą posługują się przeciwnicy, niech będzie bronią, sporządzoną przez człowieka, a cel, o który walczą, musi być jasno określony, realny i łatwy do zrozumienia. Wszelkie magiczne i cudowne interwencje jakichś nadnaturalnych mocy są przez dzisiejszych chłopców źle widziane i uważane za niepotrzebne. W walce zwyciężyć musi ten, kto „ma rację“, ten, kto silniejszy i—last not least—ten, który potrafi lepiej walczyć (sport).

Gdy mowa o lekturze najmłodszego pokolenia w Ameryce, należy wspomnieć, że dzieci tameczne oczywiście w rodzinach protestanckich, od najmłodszych lat szkolnych przyzwyczajone są do czytania Pisma Świętego. W niektórych stanach, jak w New Jersey, miejscowe prawo wymaga, aby w szkołach publicznych odczytywano dzieciom codziennie jeden werset z Biblii; pozatem jest ona wykładana w szkołach niedzielnych (sunday schools). Jakże dzieci amerykańskie odnoszą się do tej nauki? Pozytywny sposób myślenia, brak fantazji, chłodny krytycyzm i w tej dziedzinie przejawia się silnie w najmłodszym pokoleniu.

Mały ośmioletni chłopczyk wypowiada następujące przekonanie: „Uważam, że żydzi nie byli na-

zbyt przywiązani do swojej religji. Wszak czytamy w pierwszej i drugiej Księdze Królów, że władcy żydowscy tolerowali swobodę religijną, a nawet uznawali czasem bogów swoich sąsiadów, tak naprzykład król Salomon pozwalał swojemu olbrzymiemu dworowi oddawać cześć takim bogom, jakim się komu podobało“.

Dzieci amerykańskie, czytając Pismo Święte, uważają, że cuda świętych mężów i proroków nie wpływają z Boskiego natchnienia; według ich zdania są one raczej dowodem zręczności osobistej swoich twórców, niczem więcej. „Wszak teraz“, — powiadają małe mądrale amerykańskie, — „przed sądem nikt nie będzie dowodził słuszności swojej sprawy, zapomocą przemienienia laski w węża, lub czegoś w tym rodzaju“.

Chester Crowell jest przeciwnikiem czytania i komentowania przez dzieci Pisma Świętego.—Drukowane słowo, — mówi on, — w naszych czasach nie wzbudza już takiego szacunku, jak dawniej; dzisiaj dzieci nietylko posiadają specjalne pisma dla siebie, ale i drukują własne utwory w gazetkach szkolnych i z krytycyzmem odnoszą się do utworów swoich rówieśników. Za moich lat dziecięcych,—mówi dalej autor,—Biblia była szanowną wielką księgą, wzbudzającą cześć swojemi rozmiarami, pluszową oprawą, mosiężnemi klamrami i uroczystym spisem członków rodziny na pierwszej karcie. Obecnie w Ameryce ukazały się niezliczone kieszonkowe wydania Biblii w małym formacie; przytem jest ona komentowana tak, że, rzekomo, każdy może ją zrozumieć,—w rezultacie młode umysły dziecięce pojmują ją, oczywiście, fałszywie.

Dawniej Biblii nie uprzystępniało się dla dzieci, to też rozumiały ją one à la lettre i wierzyły ślepo, bez krytycyzmu, że każde słowo w niej jest dobre i święte. Dziś czytają one Pismo Święte pod przymusem i interesują się niem coraz mniej.

Dzisiejsze najmłodsze pokolenie amerykańskie wierzy, oczywiście, w Boga, do religji jednak odnosi się dość obojętnie. Dzieciom jest wszystko jedno, do jakiego kościoła uczęszczają ich koledzy i rówieśnicy. Niebo wyobrażają sobie bardzo indywidualnie, bez określenia bliższego, jednak, jako coś bardzo przyjemnego. O piekle, jako optymiści, nie myślą, lub też starają się nie myśleć.

Wykładnikiem etyki dla najmłodszego pokolenia w Stanach Zjednoczonych stał się obecnie krótki kodeks, zawierający przykazania skautowskie. Kodeks ów jest dla dzieci najwyższem prawem moralnem, świętem tabu, przeciw któremu nie buntują się nigdy i którego zasady starają się zawsze przestrzegać.

(dok. n.)



WIKTORJA RYMWID-MICKIEWICZOWA

BIAŁY DOM

Wróćę — na starym Twym progu
położę zmęczoną głowę.
Jakże dziękować mam Bogu
za jego deski dębowe.

Za to, że przed nim i za nim
wszystko jest piękne i moje —
Zielone szumy jesionów,
bielone, jasne pokoje.

Za dale Horynia sine
i za to, że wkoło Ciebie
kąpie się wiatr w falach żyta
i chmury goni po niebie.

Że kwitniesz na wiosnę bzami,
w jesieni krwawisz się winem,
że nikotjany Ci pachną
w księżycu szmaragdnie płynnym.

Że kiedy będę powracać,
między ciemnymi drzewami
zaświecisz na powitanie
złotemi w słońcu oknami,

że wiedzie do Ciebie z parku
każda aleja i ścieżka,
że ten, kogo kocham bardzo,
za Twemi ścianami mieszka,

że pod Twym dachem gontowym
jak słońce szczęście mi świeci,
że depczą ten próg Twój codziennie
malutkie stopy mych dzieci.

RYBY

Czarne ryby mkną cicho w szmaragdowej wodzie,
czarne cienie je gonią po srebrzystym piasku,
Są jak małe podwodne, bardzo szybkie łodzie,
polujące na krążki słonecznego blasku
tuż pod powierzchnią wody. I suną bez końca
wgórze, wdół — Światła gasną, znów je słońce nieci.
Czarne cienie gałązek chcą złapać w swe sieci
ryby, nicsące w pyszczku złoty krążek słońca.

SAD KLASZTORNY

Mówię prosto — tak jak śpiewają w sadzie klasztorным ptaki:
Sens życia ziemskiego i śmierci zawsze jednaki,
Jedna w słońcu Miłości przejasnem wiodąca droga —
Wśród kamieni i cierni ścieżeczka do tronu Boga.

Myślę prosto — tak jak kwitną w sadzie klasztorным drzewa.
Jakiś mrok się przed sercem zboląłem i chorem rozwiewa.
Pośród woni i blasków, w złocie słońca i ciszy w tym sadzie
jakaś dłoń się kojąca na rany i skrzący krwi kładzie.

Jakiś błękit — jak błękit nad sadem klasztorным nieba
śpiewa w duszy, że czegoś nazawsze wyrzec się trzeba,
że za dnie, które przyjdą, dnie w tęsknocie bezmiernej i męce
do stóp Bożych się kiedyś pokłonię w głębokiej i kornej podzięce.

W. MIŁASZEWSKA

3

KACZĘTA

(powieść)

Adelcia pensji nie lubi, ale uczy się dobrze. Nigdy na cenzurę nawet trójki nie przyniesie. Jak ją chwaliłam kiedyś, powiedziała do mnie:

— Nie przeżyłabym tego wstydu, żeby mi trójka miała zeszpecić cenzurę.

Ona uważa, że trójka na cenzurze, to jak kleks na kajecie. A niech tam. Chociaż mię dziwi, że ona się tak stara, a pensji nie znosi i teraz ciągle ojca molestuje, że do ósmej klasy nie wstąpi. Słyszałam kiedyś taką rozmowę:

— Po co mi to, ojcuziu? przecież nauczycielką nie będę, to mi patentu nie potrzeba. A uczoną tembardziej nie zostanę, na uniwersytet nie chcę iść.

— To cóż ty chcesz?

Adelcia roześmiała się.

— Zamaż pójdę, tatku.

Ten Teofil głupio robi, mojem zdaniem, że z takich rzeczy pozwala żartować dziecku. Według mnie, to Adelci i tak za dużo w głowie młodzi ludzie, wieczorki, zabawy. Czy to nawet pora teraz o takich rzeczach myśleć? W gazetach piszą ciągle o ciężkich czasach, o strasznym położeniu naszego kraju... Niemiec gnębi ludność, rekwiruje, podatki nakłada, a taka rozsądna panienka, taka Adelcia fiu-fiu ma w głowie!

Może ja dla niej niesprawiedliwa jestem. Ha! Może zapomniałam sama, że to przecież młodość ma swoje prawa i musi się, jak to mówią, wyszumieć.

Teofilowi, chociaż na ciężkie czasy narzeka, lepiej się teraz w sklepie powodzi. Sam powiedział kiedyś:

— Jak mi interesa pójdą dobrze, to i posag dla Adelci się złoży. Chłopcom na wykształcenie nie poskapię: będą mogli wyższe szkoły pokończyć i stanowisko w świecie zająć.

Mój Boże! Najlepszy posag, to jak w głowie umeblowane porządnie. Niechby Adelcia skończyła szkołę, przecież ten mąż nie ucieknie, a jak dotąd, to jeszcze o nim ani słyhu nawet.

Cóż Adelcia? Siedemnaście lat kończy latem. Dawniej liczyłyby się, że to dorosła panienka. Ale teraz inne czasy. Jak ja miałam siedemnaście lat, to już całym domem zarządzałam i Antolkę uczyłam czytać i jeszcze zarobiłam sama tyle, że starczyło na sukienki i różne tam drobiazgi. A przecież żadnego wykształcenia prawie nie otrzymałam: tych kilka klas na pensji—to i wszystko. Potem się już tylko od życia uczyłam, a chociaż dobra to szkoła, ale twarda i zawsze matury nie zastąpi. Gdybym, jak Adelcia, pensję ukończyć mogła, możebym nauczycielką została, albo i w biurze posadę miała jaką...

Dziwne te dzieci teraz! Jak mogą się uczyć, jak jest za co — to się każde wykręca i tylko na ojca kieszeń patrzy. Ojciec, pewnie, powinien dbać o dzieci, póki może, hodować je, na poniewierkę nie dawać. Ale znowu tak?

O, Tomek, to sobie da radę! Tylko się ze szkołą uwinął, poszedł do handlu. Teofil nazywa go swoją prawą ręką i dlatego przez palce patrzy, jak się Tomek prowadzi. A ja już teraz wiem wszystko... Tylko aż mi wstyd pisać o tem...

Z początku rady sobie z tem dać nie mogłam. Prózno rozumiuję, że czasy inne, że Tomek mężczyzna, a mężczyźni zawsze swoje prawa mają, i wiele im wolno, i nikt się na nich nie oburza, jak sobie w czem użyją. Ale mi się tak trudno pogodzić z myślą, że Tomek, ten mój mały Tomeczek...

Tomek ma kochankę. Od niej tak wraca nieraz późno wieczorem, albo i zupełnie nad ranem. Wtedy, com go przyłapała, to nie było pierwszy raz, tylko ja nic nie wiedziałam o tem, bo Tomek sobie klucz od zatrasku dorobił, że niby nieraz późno z teatru wraca, albo od kolegów.

Wtedy, pierwszy raz, tom się uspokoić nie mogła. Na drugi dzień, po śniadaniu zjawił się późno, zupełnie zielony z niewyspania i ziewający. Ja nic nie mówiłam, spojrzeć się nawet bałam na niego, że niby wiem, dlaczego to ma taki humor. Ale ten Stasiiek odzywa się głośno, z ustami pełnymi bułki:

— Ho ho! Kłaniam! Gdzież się znów lamparcił, że gębę rozdziawiasz co chwila, jak wrota? (Stas już ma taki sposób mówienia).

Jakem to usłyszała, mało mię szlag nie trafił. Wiadomo, co to jest lampart! Tfu! pięćdziesiąt lat żyję na świecie, a jeszcze się oswoić nie mogę z myślą, że takie paskudztwa się dzieją, a ludzie nic, jeszcze sobie podżartowują! Czulałam, że jestem zupełnie czerwona ze wstydu i tylko na Adelcię patrzę, bo to było przy niej powiedziane. A ona nic, uśmiecha się, bułeczkę w kawie macza najspokojniej i jedno oko przymruża do Staśka, tak, jakby porozumiewawczo.

Chryste Panie! Co to za czasy, co to za młodzi teraz! Żeby młodzianka dziewczyna, po chrześcijańsku wychowana...

1 maja

Marek znów dwójkę oberwał z geometrii.

Co ja mam z tym chłopakiem zmartwienia! On się zupełnie, ale to zupełnie uczyć nie chce tej geometrii; a może i nie potrafi? Jeszcze tam inne przedmioty niezgorzej, ale geometria i algebra! Chodziłam

do dyrektora niedawno, pytałam, jak z Markiem, i ot, dowiedziałam się ładnych rzeczy!

Już to będzie z Teofilem przeprawa, jak te Markowe sprawy szkolne na jaw wyjdą! A wyjdą, wyjść muszą, bo dyrektor mi zapowiedział, że Marek nie tylko promocji nie dostanie, ale jeszcze i nagane otrzyma na świadectwie za sprawowanie w szkole.

Ja wiedziałam, że to wieczne smarowanie po papierze w końcu go doprowadzi do złego. I wyszło na moje. Podobno na tablicy, przed samą lekcją, narysował karykaturę profesora i to jakąś okropnie złośliwą karykaturę. Oburzenie było wielkie w całej szkole. Nawet, jak mówił dyrektor, uczniowie, Marka koledzy, przyznali, że tak, to już niewolno, że to zanadto.

A potem na dowód pokazał mi dyrektor kilka kajetów Marka. O mało nie zemdlałam, jakem to zobaczyła. Na każdej stronie coś tam nabazgrane z boczku, niby notatki z lekcji, niedbale, nieporządnie; ale zato co chwila jakiś rysunek... I jaki! W jednym miejscu wyrysował profesora fizyki. Widziałam go kiedyś, to mi nietrudno było poznać, bo go Marek uchwycił, jakby fotografię z niego zjął. Naokoło tego profesora stali koledzy Marka, z ośmiu ich tam było, a wszyscy mieli języki wywieszane po pas. A pod spodem podpis: ćwiczenia fizyczne.

Oczu podnieść na tego dyrektora nie śmiałam ze wstydu za Marka. A on powiedział tylko:

— Nie wiem, jaką tam w domu chłopiec ma opiekę, ale jak się podobne rzeczy powtarzać będą, to uprzedzam panią, że go ze szkoły usunę dla samego przykładu.

No!

Wzięłam Marka w domu na spytki; ale ja z nim nigdy do ładu nie dojdę, bo on ma coś takiego

w czach, że jak tylko na niego popatrzę, to mi zaraz na myśl Antosia przychodzi, taka, jak była w ostatnich tygodniach życia: bledziutka, chora i taka smutna...

Ale o tej wizycie u dyrektora powiedziałam mu — i że wiem o wszystkim.

— Już nie mówię, jak mnie te rysunki zabolaly, Mareczku, bo to jakby mi kto nóż wbił w serce, że ty tak drwić możesz ze starszych i do tego z profesorów! ale pomyśl, co to ojciec powie, jak cię ze szkoły wyrzucą?!

A ten Marek zaraz się zrobił strasznie błądy i w prośby do mnie;

— Ciociu Juściu! Już ja bardzo proszę, niech ciocia ojcu nie mówi nic! Już ja w szkole rysować nie będę, tylko w domu i poprawię się, tylko niech ciocia ojcu nie mówi!

Marek się strasznie ojca boi, sama nie wiem czemu, bo tylko czasem Teofil strasznie na niego urąga, jak mu z biurka wszystkie ołówki pogina.

— Już ty sobie tem malarstwem biedy napytasz! Zaprzestałbyś gryzmolenia... — mówię do Marka.

A on:

— Kiedy nie mogę, ciociu...

Jakto, nie mogę? Już to prawda: ledwie ze szkoły przyjdzie i obiad zje, zamiast do lekcji się zabrać, zaraz bierze papier, ołówki i rysuje, a rysuje. Siedzi tak, w kabłak zgięty, ołówek w zębach gryzie chwilę, a potem, jak nie zacznie rysować! Stół trzeszczy, papier chrzęści, ołówek się łamie, a on nic: chwytą drugi i szoruje nim, aż mu ta niebieska żyłka na skroń występuje zupełnie wyraźnie... Czego on tam nie wyrysował przez tych kilka lat!

Najpierw były statki, latawce, aeroplany, powoziaki... potem żołnierze w wysokich czapkach, pieszo i na koniu.

(d. c. n.)

NASZ DODATEK POWIEŚCIOWY

Po ukończeniu cyklu nowel znanej francuskiej autorki Colette Yver, pod ogólnym tytułem „Rąbek zasłony“, cyklu, dającego ciekawe psychologiczne przekroje dusz kobiecych, które życie stawia w niezwykle konflikty z obowiązkiem zawodowym i ze wzniosłym pojęciem powołaniem kobiety, — rozpoczynamy w bieżącym numerze druk niezwyklej powieści angielskiego pisarza Douglasa Goldringa p. t., „Poławiacz dusz“ w autoryzowanym przekładzie p. Haliny Gromadzkiej.

Douglas Goldring jest dziś jednym z poczytniejszych autorów angielskich, dla czytelnika polskiego ciekawy głównie ze względu na świetną charakterystykę powojennego społeczeństwa Wielkiej Brytanji.

Wybrana przez nas powieść jego ma za tło życie współczesnego „towarzystwa“ angielskiego.

Bohaterem powieści jest mężczyzna Emerard Pawis, człowiek o niezwykle silnej indywidualności, wywierający wpływ niemal kultystyczny na swoje otoczenie. Wpływowi temu podlegają zwłaszcza dwie kobiety, z których jedna (Betty), natura silna, odnajduje siebie i zyskuje na mocy charakteru — poddając się tej jednej wybitnej indywidualności zupełnie świadomie; zaś druga (Bianca) ginie, walcząc bezskutecznie z „Nim“, nie mogąc zdecydować się na wybór pomiędzy kochankiem, a obowiązkiem, miłością do syna. Ginąc sama, traci również dziecko. Myśl przewodnia powieści, trzymającej wyobraźnię czytelnika pod nieustającym czarem, zamyka się w słowach autora: „Podlegamy wszyscy niezliczonym wpływom: społeczeństwa, rodziny, przyjaciół, tradycji i t. d. Są to więzy, krępujące rozwój naszego „ja“. Stokroć lepiej poddać się świadomie jednemu wpływowi, jednej silnej indywidualności (oczywiście — dodatniej) i wówczas stajemy się silni wobec wszystkich. Tylko natury mocne zdobędą się na to — słabe — zgną w walce z samym sobą“.

J. CONRAD

17

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatarakiewiczowej
(Dokończenie)

XI

Powoli zupełne ciemności ogarniały Renouard'a. Opuściła go stanowczość. Zamiast podążyć za Felicją ku domowi, zatrzymał się pod trzema palmami; gdy oparł się o gładki pień jednej z nich, owładnęło nim ogromne rozczarowanie i poczuł się zupełnie wyczerpany. Przechadzka na szczyt wzgórza była jakby ostatnim wysiłkiem podróżnika, który chciał się dostać do wnętrza niezbadanego kraju, zbyt dobrze strzeżonego przez jałową i okrutną naturę. Zwodzony złudną nadzieją, zabrnął zbyt daleko, tak daleko, że nie mógł już zawrócić, a siły jego wyczerpały się. Poraz pierwszy w życiu musiał się wyrzec swych zamierzeń i, skupiając całą siłę woli, z rozpaczą usiłował zrozumieć przyczynę swej klęski. Nie przypisywał jej nieboszczykowi.

Nie zauważył Luiza, który, wahając się, zmierzzał ku niemu. Drgnął, gdy mulat przemówił nieśmiało:

— Co takiego? Czekają na mnie z obiadem? Musisz mnie wytłumaczyć i przeprosić w moim imieniu, ale nie mogę przyjść do stołu. Zobaczą się jeszcze z nimi jutro rano na przystani. Zapytaj profesora, kiedy chce, aby żaglowiec był gotów do drogi. A teraz, odejdz.

Luiz, oszołomiony, znikł w ciemnościach. Renouard pozostał bez ruchu; dopiero po wielu godzinach, wśród ciszy, panującej na wyspie, wybiegły mu na usta, — jakby gorzki owoc jego rozmyślań, — słowa:

— Nie miałem nic do ofiarowania jej dumie.

Wówczas dopiero poruszył się z miejsca i resztę nocy strawił na niespokojnym wałęsaniu się po licznych ścieżkach plantacji. Luiz, który spał lekko w jakimś przeczuciu grozących bliskich zmian, usłyszał ciężkie kroki swego pana, przechodzącego obok chaty i, przewracając się na macie, cmokał zcicha: „Tsetse! tsetse!” — wyrażając tem swój głęboki niepokój.

Prawie całą noc bungalow był oświetlony, a z pierwszym brzaskiem dnia rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu. Służba domowa procesjonalnie wynosiła kufry i walizy do łodzi, która przypląnęła z żaglowca do przystani w samym dole ogrodu. Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca otoczyły złotą aureolą purpurowy profil przyładka, plantator z Malaty szedł z gołą głową, brzegiem maleńkiej zatoki. Zamienił parę słów z retmanem żaglowca, stanął wyprostowany obok łodzi, z oczami utkwionymi w ziemię, i czekał.

Nie oczekiwał długo. Profesor pierwszy zeszedł z wawo ścieżką po trzeszczących pod stopami muszelkach w dół chłodnego, cienistego ogrodu. Ze złożonym parasolem, zawieszonym na rękę, z książką w dłoni,

wyglądał jak banalny turysta, więcej, niż wypada wybitnemu człowiekowi. Zdaleka wolną ręką dawał znaki Renouard'owi, ale zbliżywszy się, gdy ujrzał jego nieruchomą postać, nie wyciągnął nawet dłoni do uścisku. Rzucił na niego badawcze spojrzenie i, zdecydowawszy się, rzekł nieomal gwałtownie:

— Powracamy przez Suez; przejrzałem rozkład statków, i jeśli tylko zefiry, wiejące na tym waszym Oceanie Spokojnym, będą nam nawet umiarkowanie sprzyjały, powinniśmy zdążyć na statek, odchodzący 18 marca do Marsylii. Taka data bardzoby mi odpowiadała... — a potem dodał, zniżwszy głos:

— Drogi przyjacielu, jestem ci głęboko wdzięczny.

— Zaco pan mi jest wdzięczny?

— Zaco? Przedewszystkiem mógł pan nam przeszkodzić w wyjeździe najbliższym parowcem... Nie dziękuję panu za gościnność; nie będzie się pan na mnie gniewał, jeżeli się przyznam, że się nawet cieszę z wyjazdu. Lecz wdzięczny jestem panu za wszystko, co pan zrobił — i za to, czem pan jest.

Trudno wyrazić całą finezję tego przemówienia, lecz Renouard wysłuchał go wyniośle, z dwuznacznym uśmiechem. Profesor, wszedłszy do łodzi, otworzył parasol i siadł na rufie, czekając na panie. Żaden głos ludzki nie zamącił świeżej ciszy poranku, gdy ukazały się obie na ścieżce; panna Moorsom szła przodem.

Gdy doszła do Renouard'a, podniósł głowę ku niej.

— Dowidzenia, — rzekła cicho i chciała przejść mimo, lecz, zauważywszy błagalne spojrzenie jego błękitnych, głęboko zapadniętych oczu, po krótkim wahaniu złożyła rękę w jego wyciągniętej dłoni.

— Czy pani raczy pamiętać o mnie? — zapytał. Wzruszenie, które ją gniewało, zaczerwieniło jej blade policzki, a czarne oczy zaiskrzyły się.

— Dziwne żądanie! — odparła, usiłując mówić jak najchłodniej.

— Dziwi panią? Może pani to uważa za nieprzyzwoite? Nie zawiniłem w tym stopniu, w jakim pani przypuszcza. I niech pani pamięta, że mojej krzywdy nigdy już pani nie wynagrodzi.

— Wynagrodzić krzywdę pana! To pan nie zdoła nigdy wynagrodzić krzywdy, jaką mi pan uczynił, obrażając moje uczucia i mnie samą; bo jakie może być zadośćuczynienie za ten wstrętny i śmieszny spis, obraźliwy w swych zamiarach i ponizający moją miłość własną? Nie! Nie chcę pamiętać o panu!

Wówczas, niespodziewanie, ujawszy ją za rękę, przyciągnął bliżej ku sobie i, patrząc jej w oczy, z rozpacziwą odwagą rzekł stanowczym głosem:

— Zmuszę cię do tego... Przyjdę do ciebie po śmierci!

Wyrwała mu dłoń z ręki, nim zdołał uwolnić ją z uścisku. Usiadłszy w łodzi obok ojca, ostrożnie chuchała na obolałe palce.

Profesor spojrział na nią z ukosa i nie rzekł nic. Siostra jego, będąca jeszcze na brzegu, z lekkim brzękiem opuściła na łańcuszek lornetkę, przez którą przyglądała się tej scenie.

— Nigdy jeszcze w życiu nie słyszałam skierowanych do kobiety tak brutalnych słów — szepnęła, przechodząc obok Reouard'a z głową podniesioną do góry. Gdy w chwilę potem, złagodniawszy nagle, obróciła się, chcąc mu posłać ostatnie pożegnanie, ujrzała go z tyłu, idącego już ku domowi. I zanim opuściła Malatę, zobaczyła ze zdumieniem, że znikł w jego wnętrzu.

Nikt nie przeszkadzał Renouardowi w pokoju, gdzie zamknął się, aby wdychać zapach tej, która przestała już istnieć dla niego. Aż wreszcie późno popołudniu mulat odezwał się pode drzwiami.

Zawiadamiał pana, że handlowy statek *Janet* wpłynął do zatoki.

Renouard przez drzwi wydał mu silnym głosem najbardziej niespodziewane polecenia. Miał wypłacić robotnikom pieniądze, znajdujące się w biurze, i ułożyć się z kapitanem statku, aby ich zabrał, wszystkich, z Malaty i odstawił do domu. Za przewóz dostanie przekaz na firmę Dunster'a, gdzie mu wypłacą należność.

I znów nic nie mąciło ciszy, panującej w domu, aż do następnego ranka, kiedy mulat przyszedł, aby oznajmić, że już wszystko zostało załatwione. Robotnicy wsiadali właśnie na statek.

Przez szparę we drzwiach wyciągnięta ręka rzucała mu kawałek papieru, a drzwi zostały zatrzaśnięte tak szybko, że Luiz aż się cofnął. Lecz podpełzł z powrotem i przez dziurkę od klucza zapytał błagalnie:

— Czy ja też mam odjechać?

— Tak. Ty także. Wszyscy mają odjechać.

— Pan zostać sam?

Milczenie. Mulat szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Lecz i on, tak samo jak i reszta „głupich dzikusów“, robotników z plantacji, był zadowolony, że może opuścić wyspę, gdzie straszy duch białego człowieka. Odsunął się bez szelestu od drzwi, za którymi panowała tajemnicza cisza, i dopiero wychodząc, w drzwiach domu, dał upust swym uczuciom w błagalnym i zasmuconym dźwięku:

„Tse! tse! tse!“

XII

Rodzina Moorsom'ów zdążyła w samą porę na statek, który miał ich odwieźć do domu; w mieście zatrzymali się dwadzieścia cztery godziny. Sentymentalny Willie widział ich tylko krótką chwilę. Niemniej jednak ze łzami w oczach opowiadał potem szczegó-

łowo, jak panna Moorsom, piękna, elegancka i mądra, odnalazła na Malacie swego narzeczonego, ale tak ciężko chorego, że wkrótce na jej rękach wyzionął ducha. Wszyscy bardzo byli wzruszeni tą historią, która przez dłuższy czas była tematem rozmów.

Lecz wszystko-wiedzący redaktor, jedyny dawny przyjaciel Renouard'a, chciał wiedzieć więcej od innych. Może to zawodowa jego ciekawość sprawiła, że zapragnął pełnego puhara wzruszających szczegółów. Gdy więc zauważył żaglowiec Renouard'a, stojący na kotwicy w porcie od szeregu dni, wyszukał retmana i zapytał go o przyczynę tego postoju; ten odpowiedział, że Renouard nie kazał mu przez miesiąc wracać na Malatę.

Termin ten wkrótce się kończył.

— Niech pan zabierze mnie ze sobą — zaproponował mu redaktor.

Pewnego poranka wylądowali na Malacie w dole ogrodu. Cisza, spokój i słońce panowały wszędzie; okna i drzwi domu były naoszczędnie otwarte; nigdzie nie było śladu ludzkiego istnienia; rośliny wyrastały bujne i gęste na opustoszałych polach. Przez kilka godzin, podnieceni tajemnicą, redaktor z załogą żaglowca przeszukiwali wyspę, wołając głośno Renouard'a; wreszcie, w ponurem milczeniu, przetrząsnęli systematycznie gęste krzewy i głębokie rozpadliny w poszukiwaniu jego ciała. Co się stało? Czy zamordowali go robotnicy? Czy też, poprostu, z dziwactwa, w tajemniczy sposób opuścił wyspę, zabrawszy swych ludzi. Trudno było powiedzieć, co się z nim stało. Wreszcie pod koniec dnia, redaktor z retmanem odkryli ślad sandałów, kierujący się poprzez piaszczysty strand ku północnemu brzegowi zatoki. Idąc za tym śladem, z trwogą obesli ostrogę przylądka i tam, na wielkim kamieniu, znaleźli sandały, biały kaftan Renouard'a i malajski, kraciasty sarong, w którym zwykł był chodzić do kąpieli. Rzeczy te były ułożone w niewielki stos; marynarz, przyjrawszy się im w milczeniu, rzekł:

— Ptaki już oddawna krążyły nad niemi.

— Poszedł się kąpać i utonął! — zawołał redaktor z przerażeniem.

— Wątpię: gdyby był utonął nawet o milę od brzegu, woda wyrzuciłaby ciało na rafy; a łodzie nasze nic nie znalazły.

Nigdy nic nie odnaleziono, i zniknięcie Renouard'a pozostało nazawsze niewytłumaczone; bo i któż mógł przypuszczać, że, posłuszny nieprzepartemu wołaniu, z oczami, utkwionymi w gwiazdę, popłynął spokojnie poza granice życia?..

Następnego wieczora, z odpływającego żaglowca redaktor poraz ostatni spoglądał na opustoszałą wyspę. Czarna chmura wisiała nieruchomo ponad wysoką skałą środkowego wzgórza; w jej tajemniczym cieniu, na tle zachodzącego słońca, Malata spoczywała ponura i jakby strwożona wspomnieniem — o złamanem sercu.

[NOWA KRÓLOWA RAKIETY

Do uszu starego świata dobiegła na drutach telegraficznych wieść niezwykła: w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w mieście San-Francisco wystawiono pomnik za życia młodzieńczej tenisistce kalifornijskiej, reprezentującej barwy gwiazdzonego sztandaru, dłuta jednego z najznakomitszych rzeźbiarzy Ameryki.

Osobą, którą w tak niezwykły sposób i w tak młodym wieku uczczono pomnikiem, jest Helena Wills, znana już naszym czytelnikom z poprzednich artykułów w „Bluszczu“.

Fakt wystawienia pomnika pannie Wills każe nam ponownie zająć się osobą tej młodzieńczej tenisistki, temwięcej, że w dniach niemal ostatnich na dorocznym międzynarodowym turnieju tenisowym w Wimbledon amerykańka zdobyła bezapelacyjnie pierwsze miejsce, bijąc bez litości wszystkie swoje najgroźniejsze rywalki.

W chwili, kiedy od szeregu już lat w kobiecym świecie tenisowym niezachwianie dzierżyła berło pierwszeństwa najznakomitsza, bodaj, dotychczas tenisistka francuska, Zuzanna Lenglen,—Ameryka ustawicznie poszukiwała wśród licznych swych zwolenniczek białego sportu odpowiedniej dla Zuzanny rywalki. Przez wiele lat wszelkie próby zdetronizowania Lenglen paliły na panewce. Lenglen była niezwykłą: najlepsze jej współzawodniczki, rekrutujące się ze wszystkich części świata, jeszcze o klasę były od niej gorsze.

W roku 1924 na horyzoncie tenisu amerykańskiego zjawiała się gwiazda pierwszej wielkości: Helena Wills. Liczyła wówczas lat zaledwie 18 i bez trudu w największej konkurencji Stanów Zjednoczonych, w turnieju o mistrzostwo Ameryki, zajęła pierwsze miejsce, zdobywając tytuł mistrzyni Ameryki.

Łatwe jej zwycięstwa nad rodaczkami wywołały entuzjazm w prasie amerykańskiej, która, rewelując niezwykły talent tenisowy p. Wills, zgóry wskazywała na nią, jako na jedyną groźną rywalkę Zuzanny Lenglen, jedyną w przyszłości pogromczynię i spadkobierczynię wielkiej sławy francuzki.

Pod wpływem namowy swych najbliższych przyjaciół, pod wpływem także entuzjastycznych nawoływań prasy, w tymże roku udaje się miss Wills do Europy, aby tu — jak błędni rycerze — poszukiwać możliwości spotkania się w szrankach z królową tenisu. Na wielkim turnieju tenisowym w Wimbledon odnosi zwycięstwo generalne, na Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu zdobywa tytuł mistrzyni olimpijskiej. Ale, niestety, w żadnym z tych turniejów Zuzanna Lenglen—z racji choroby—udziału wówczas nie brała, nie osiągnęła więc ambitna amerykańka swego naj-



Biust znakomitej mistrzyni tenisa p. Helen Wills, dzieło głośnego rzeźbiarza w San-Francisco

gorętszego pragnienia: zmierzenia się z rakieta Zuzanny Lenglen i, ewentualnie, odniesienia nad nią zwycięstwa.

Owo zwycięstwo dla pełni sławy młodej amerykańki stanowiło szczegół nieodzowny. Wróciła do swego kraju, jako podwójna triumfatorka: mistrzyni olimpijska i pogromczyni na turnieju w Wimbledon.

To prawda. Ale pomimo to — właśnie Zuzannę Lenglen, mimo nieobecności jej na obu turniejach, świat cały w dalszym ciągu uważał za królową tenisu, ani na chwilę nie wątpiąc, że spotkanie Lenglen — Wills zakończyłby się musiało zwycięstwem francuzki.

Następny rok, 1925, zastaje obie tenisistki, działające każda na swoim terenie. Spotkanie, tak gorąco przez wszystkich oczekiwane, nie dochodzi do skutku. Oddzielone od siebie wielkimi przestrzeniami oceanu, nie kuszą się o przyspieszenie spotkania.

Dopingowana wielkim głosem opinii amerykańskiej decyduje się wreszcie miss Wills na ponowne przebycie oceanu, i oto w roku 1926 powtórnie przybywa na korty tenisowe Starego Świata, spragniona zwycięstwa nad królową tenisu. Uparta amerykan-

ka zdaje sobie sprawę, że w jej laurowym wieńcu sławy brakuje liści największych, najbardziej zielonych i najpiękniejszych, wie także, że liście owe niewzruszenie spoczywają w rękach Lenglen i że zdobyć je może jedynie przez pokonanie Zuzanny.

Na jasnym brzegu, w Cannes, spotkanie dochodzi do skutku. W obecności niewidzianych dotychczas tłumów rozgrywa się mecz tenisowy, który zdecydować miał o tem, czy tron królowej tennisu pozostanie nadal w starej Europie, czy też wywieźć go będzie trzeba na ziemię Nowego Świata. Spotkanie skończyło się ciosem ambitnej amerykanki. Zuzanna Lenglen raz jeszcze pokazała pazury lwa, raz jeszcze potwierdziła swą opinię „imbattable“.

Amerykanka nie złożyła broni. Wyjechała do kraju swego z pełnemi łez oczyma i z mocnem postanowieniem wydania nowej walki francuzce w roku następnym. Niestety, wkrótce potem Lenglen przeszła do szeregów profesjonalizmu. Miss Wills nigdy już nie spełni swego marzenia, nigdy nie wytraci z rąk rakiety swej niezwykłej rywalce!

Nad sławą panny Wills brak zwycięstwa nad Zuzanną Lenglen ciąży fatalnie. Wycofując się dobrowolnie z szeregów amatorskich, Zuzanna zabrała ze sobą nienaruszoną opinię niezwykłej.

W roku bieżącym młoda amerykanka, zwana w swoim kraju, tak lubującym się w plastycznych określeniach, miss Poker-Face,—dla swego spokoju

w grze, dla marmurowej twarzy, nie zdradzającej nigdy najmniejszego wzruszenia,—znowu przybyła do Europy po nowe laury, nowe sukcesy. Szczęście dopisuje jej. Zdobyła znowu pierwsze miejsce w turnieju międzynarodowym w Wimbledon, tipowana jest niemal jednogłośnie na mistrzynię olimpijską w roku przyszłym.

Miss Wills, poza opinią najlepszej obecnie tenisistki świata, cieszy się w kraju swym niemięszem uznaniem, jako dziennikarka sportowa. Ponadto studjuje pilnie w Szkole Sztuk Pięknych. Jest więc — jak widzimy—osobą dość wszechstronną, dbającą o swój rozwój intelektualny,

Oczywiście, fakt wystawienia pomnika młodej miss za jej zwycięstwa sportowe wydaje nam się rzeczą dość przesadną. Temwięcej, że z punktu widzenia propagandy sił fizycznych i moralnych swej rasy,—miss Wills, aczkolwiek bezwzględnie oddaje swemu krajowi niezaprzeczone usługi, pracując dla chwały gwiazdzistego sztandaru,—jednak o ileż więcej przysłużyły się Ameryce pod tym względem liczne szeregi innych, niewiecznionych za życia, jednostek?!

W każdym razie stwierdzić możemy jedno: Ameryka do wydarzeń sportowych przywiązuje olbrzymie znaczenie. Sukcesami, osiągnięciami przez swych obywateli, cieszy się szczerze i umie je oceniać. A zarazem do rozwoju sportów przywiązuje wagę potężną, słusznie widząc w nim najpewniejsze zadatki odrodzenia fizycznego ludzi cywilizacji. *W-na.*



ANIELA WALDENBERGOWA

PRZYJAZD DZIECI Z NIEMIEC, GDAŃSKA I GÓRNEGO ŚLASKA NA MIESIĄC WAKACYJ DO POLSKI

Od kilku lat Związek Obrony Kresów zachodnich sprowadza dzieci polskie z za kordonu do Polski. Zaczątki akcji datują z przed czterech lat, kiedy pierwsza niktła partja 400 dzieci, jakby wprost tytułem próby, przyjechała do kraju i z trudem znalazła pomieszczenie na kolonjach. Wyniki okazały się nadszpodziewanie dobre! Nietylko pod względem zdrowotnym dzieciaki się zmieniły: blade, anemiczne buziaki zaróżowiło słońce i powietrze wiejskie, lecz, co ważniejsze, dzieci mówiły o wiele czystsą polszczyzną,

układnie witały się ze starszymi, i widać było, że nabrały zaufania do otoczenia.

W drugim roku już przyjechało 1000, w trzecim—3000, w czwartym—5100, a w piątym, bieżącym roku—12.000!..

Gdyby rozwój akcji sprowadzania dzieci uzależniony był wyłącznie od działalności i agitacji dykcji i członków Związku Obr. Kr. Zach., nie można by w tak szybkim tempie dojść do podobnych rezultatów. Największemi agitatorami okazały się dzie-

ci same! Przemówiły za siebie do otoczenia! Właśnie ta pewna dzikość, brak zaufania, przedziwny smutek w oczach, nie licujący z dziecinnym wiekiem, wszystko to razem budzi tyle współczucia i ciepła w stosunku do tych dzieciaków, że kto raz zbliżył się do nich, ten już stale na rozcież swoje gościnne dla nich otwiera podwoje.

Dzieci z Niemiec zjeżdżają się w Berlinie i tym samym pociągiem, który dzieci niemieckie dowozi nad Sprewę z Polski (przeważnie z Poznania i okolic), przyjeżdżają dzieci z Niemiec do Poznania. O ile można, dołącza się dzieci z innych punktów, i w specjalnie uruchomionym pociągu przyjeżdżają do Warszawy.

Pierwsza chwila powitania wypada na dworzec główny, gdzie Komitet przyjęcia dzieci przy Z.O.K.Z., przedstawiciele władz i orkiestry wojskowe witają małych podróżnych. Otrzymują zwykle polskie chorągiewki i przy dźwiękach marsza defilują przez dworzec, gdzie serdecznie przemawia do nich ktoś z komitetu. Ciężarówkami samochodami (co za radość!) przejeżdżają dzieci na placówkę, dla nich przez Związek przygotowaną. W ubiegłym roku można było przyjmować dzieci w pięknych salach szkoły Podchorążych. W tym roku szkoła powszechna przy ulicy Chłodnej udzieliła gościny.

Oględziny lekarskie, rejestracja, kąpiel, posiłki, zabawy, czasami przejażdżka po mieście, i jazda dalej, już do celu podróży.

Przez te dwanaście godzin obcowania z dzieciakami już można wiele o nich powiedzieć. A mianowicie: dzieci, mające matkę polkę, mówią po polsku, umieją pacierz, zwykle kilka piosenek, bezwzględnie „Boże, coś Polskę“. W małżeństwach, gdzie ojciec jest Polakiem, a matka Niemką, dziecko rozumie albo b. mało, albo zna kilka słów za ledwie. Jedna z dziewczynek z Saksonji (jedenastoletnia) zapytała mnie, czy Polska jest tak duża, jak Lipsk, czy też mniejsza? Chłopczyk z Gdańska (dziesięcioletni) zwrócił się z zapytaniem o coś po niemiecku. Z przerażeniem spojrzał się na mnie i wykrztusił: „co ja zrobiłem, mówiłem po niemiecku“!

Widocznie spodziewał się surowego skarcenia i, widząc, że nikt go za to nie łaje, a spokojnie po polsku odpowiada, nabrał od razu humoru i, jako dowód zaufania, pokazał mi zawartość portmonetki. Ach, te kapitały i majątki dziecinne! Trudno opisać, ile czasu kosztuje zdobycie o tyle zaufania dzieci (zwłaszcza z Górnego Śląska), żeby ze spokojem zostały w szatni swoje paczki! W małym pudełku mieści



Dzieci polskie z Niemiec gośćmi ziemi ojczystej

się cały dobytek! Najchętniej trzymałyby go w rękę do samego wieczora! Pewnie matka srogo przykazywała, żeby „pilnować rzeczy“. Dziewczynki są dostępniejsze; chłopcy boczają się często, się zasłaniają charakterystycznym ruchem uniesienia łokcia od uderzeń w twarz!... Powoli, powoli się ułaskawiają. Jeden chłopiec aż trzy razy uciekał. Przez okno wyskakiwał na podwórze i wykradał się przez bramę. Policja go sprowadziła. Właśnie na tym chłopcu (robi wrażenie niedorozwiniętego) widoczny jest najjaskrawiej zbawienny wpływ polskiej gościny. Po czterech tygodniach, wracając do domu, nietylko, że nie uciekał, ale sekretarce związku podrzucił karmelki, widocznie dla niej oddawna schowane w kieszeni, o czym wymownie świadczyło opakowanie... W tym roku jest znowu!.. Wita się, podaje rękę; pokazuje książkę, którą dostał. Ale kiedy kolega chciał ją obejrzyć, dostał kułaka w bok. Zobaczmy, co będzie na jesieni...

Jedna partja już powróciła. Opalone, zdrowo wyglądają dzieciaki. Tylko mają żal, że za krótko były. „A na przyszły rok znowu chcemy przyjechać“, proszą, patrząc się w oczy.

„Dobrze, przyjedziecie. Ale inne dzieci tam czekają... Czekają ich dużo!..

Wszystkie plebanje, starostwa, kolonje i dwory, co podwoje i serca otworzyły, by przyjąć dzieci polskie z obczyzny, spełniają wielki, zacny uczynek. A choć niełatwe ich czeka zadanie, lecz jeden uśmiech dziecka, pieśń polska, chórem zaśpiewana,—tysiąc kroć trud ten nagrodził!



Kobieta w świecie i w domu

KOBIECE MIASTO

Meło komu zapewne wiadomo, że istnieje w Ameryce miasto, zamieszkane wyłącznie przez kobiety!

Jest to Bryn Mawr, w pobliżu Filadelfji, uniwersytet kobiecey i jakby jeden wielki pensjonat, zaludniony studentkami, w wieku od 17 do 22 lat.

Miasteczko zresztą urocze, domy w najrozmaitszych stylach: — starych zamków, will nowoczesnych, artystycznych pałacików i skromnych cottage'ów; wszędzie masa kwiatów, śliczne zieleńce, wspaniałe boiska i place sportowe, a na nich wdzięczne, młode postacie, z zapalem grające w tenisa, polo i baskett-ball. Gdzieniedzie strzelnice, sale fechtunkowe, w których naukę szermierki i strzelania prowadzą również kobiety-nauczycielki, niewiele zresztą starsze od młodzuchek uczenic.

Wewnątrz domy urządzone są z wielkim smakiem i prostotą; w każdym znajduje się duży salon, biblioteka i... palarnia. Pałic wolno tylko w takim smacking-room, a i to jest inowacją, gdyż dawniej papierosy były wygnane z Bryn Mawr, i chcąc zapalić, trzeba było wędrować za miasto. Uznano jednak to ograniczenie za zbyt uciążliwe.

Oprócz sal na wspólne zebrania, w każdym domu jest szereg pokojów-sypialni, gdzie już każda z pensjonarek jest u siebie, ma swój malutki home, przystrojony tysiącem drobiazków, według własnego gustu. Każdy pokój ma też oddzielną łazienkę.

Regulamin, zwykły we wszystkich tego rodzaju pensjonatach amerykańskich, posiada bardzo wiele swobody i — pewne przepisy, których przestępować nie wolno. Niektóre nawet wcale nie liberalne. Jeżeli np. studentki wyjeżdżają poza obręb „swego miasta“, do teatru choćby, lub na zabawę tak, że powrót wypadła po 10-ej wieczór, muszą być w towarzystwie kogoś starszego.

Skąd, jednak, powstał ten „kobięcy uniwersytet?“

Oto lat temu 40, gdy jeszcze większość wyższych uczelni nie przyjmowała studentek, uniwersytet w Bryn Mawr został założony przez jakiegoś multimiljardera, który, podobno, ufundował go przez pamięć — dla swej młodzieńczej miłości.

Z biegiem lat przy uczelni powstawało coraz więcej domów, zakładów pensjonatowych, aż urosło całe miasteczko.

Jest to zresztą uczelnia arystokratyczna — względnie nie liczna — studentek jest obecnie 450. Rekrutują się one z córek najbogatszych i najbardziej znanych rodzin. Program wykładów i prac różni się tem od innych szkół wyższych, że każda ze studentek poświęcić musi jedną trzecią godzin na studia ogólne, prócz przedmiotu, w którym się specjalizuje. Najlepiej stoją wydziały: przyrodniczy i ekonomiczno-społeczny. Wykłada 89 profesorów. (są wśród nich i mężczyźni); na czele instytucji stoi, jako przewodnicząca honorowa, kobieta, doktorka filozofji, pani Carey Thomas.

N. J.

KOBIETY AUSTRACKIE

WALCZĄ O PRAWO WSTĘPU NA GIEŁDĘ

W prawie handlowem austrackiem istnieje dotychczas paragraf, zabraniający kobietom wstępu na... giełdę. A tymczasem dziesiątki i setki kobiet prowadzą, zwłaszcza w Wiedniu, różnorodne przedsiębiorstwa i sprawy handlowe, które bezwzględnie obecności na giełdzie wymagają. Postanowiono więc skończyć z tym przestarzałym kodeksem. Najenergiczniejszą rzeczniczką dopuszczenia kobiet na giełdę jest pani Margit Biach, która po śmierci męża została na jego miejscu kierowniczką wielkiej akcyjnej fabryki ołówków w Mühlendorf i przewodniczącą rady zarządzającej akcjonariuszy.

Pani Biach zwróciła się do związku przemysłowców, który poświadczył tej sprawie specjalne zebranie i przesłał przychylny wniosek do Izby handlowej; stamtąd zostanie on przedłożony parlamentowi. I nie ulega już dziś wątpliwości, że nowela do regulaminu giełdowego zostanie przeprowadzona w drodze prawodawczej, otwierając kobietom wstęp na giełdę. Obecnie, bowiem, kierowniczką tow. akcyjnego nie ma prawa osobistego doglądania obrotów swoich własnych akcyj!

N. J.

WŁADCZYNI REPUBLIKAŃSKA

W chwili obecnej, gdy tak wiele kobiet zajmuje odpowiedzialne, a nawet wysokie stanowiska samodzielne „w świecie“, ciekawą się staje rola kobiety „w domu“ w tych wypadkach gdy ten dom nie jest tylko przybytkiem rodzinnym jedynie, lecz wysoką placówką polityczną i państwową; rola żony reprezentanta państwa, zwłaszcza w krajach republikańskich, gdzie stanowiska tego nie określają żadne dynastyczne tradycje.

To też, zdaje się, że zajmującą będzie sylwetka jednej z tych kobiet, znanej w całych Stanach Zjednoczonych pod popularną nazwą „pani Białego Domu“ — prezydentowej Coolidge.

Wiadomo wszystkim, że prezydent Calvin Coolidge jest wzorem republikańskich cnót o purytańskiej skromności. Idealnym mężem i ojcem, a przytem człowiekiem, wyznającym niezłomnie zasady jaknajwiększej prostoty i oszczędności. To też z chwilą jego wyboru na stanowisko naczelne Stanów, zastanawiano się niejednokrotnie, jak też ułoży się życie towarzyskie w Białym Domu, co nie jest wcale dla Amerykan rzeczą obojętną, przywykli oni bowiem, w myśl swych zasad, do uważania siedziby i życia prezydenta również jako cząstki publicznej, państwowej własności.

I w bardzo krótkim czasie okazało się, że przyjęcia w Białym Domu są... czarujące.

Zgadając się w zupełności z mężem, pani Gracja Coolidge usunęła z nich wszelki przepych, tak chętnie demonstrowany w Ameryce przez różnych nowobogackich, lecz potrafiła roztoczyć wokoło siebie tyle życia, wesołości, ujmującej serdeczności, stworzyć taką atmosferę wysokiej kultury, że — jak zgodnie zaświadcza wszyscy — nowy duch powiał w Białym Domu.

Pani prezydentowa nie tworzy „mody“, nie błyszczy strojami i klejnotami, nie stawia na pierwszym planie kosztownej kuchni i zbytku, lecz gromadzi z przedziwnym darem elitę umysłową i artystyczną i stwarza w swym domu istotny ośrodek wszystkich ważnych spraw społecznych i towarzyskiego życia, stając się jego duszą przez swoją inteligencję, żywość, dowcip i wielki dar prowadzenia swego domowego państwa.

Pani Coolidge wprowadziła też odrazu jedną ważną reformę na swem stanowisku: towarzyszy wszędzie mężowi w podróżach oficjalnych i na wszelkie urzędowe przyjęcia i uroczystości. Dotychczas bowiem było w zwyczaju, że prezydent w tych wypadkach ukazywał się sam. Pani Gracja Coolidge z chwilą objęcia swego stanowiska w Białym Domu dała wszystkim w sposób bardzo taktowny lecz stanowczy do zrozumienia, że życzeniem jej i męża jest występować razem i odrazu stało się to oficjalnym zwyczajem.

Nawet wtedy, gdy prezydent w sprawach państwowych, lub fachowych przyjmuje wyłącznie panów, pani Coolidge zaprasza żony i córki gości swego męża, tak, że oboje małżonkowie wydają przyjęcie jednocześnie.

„Pani Białego Domu“ jest dziś znaną, popularną i cenioną narówni z mężem, a gdy przed dwoma laty tę szczęśliwą i czczoną kobietę dotknął straszny cios, — nagła prawie śmierć starszego syna, i gdy przez jakiś czas zdawało się, że nie będzie mogła powrócić do dawnego trybu życia, wszyscy z prawdziwą rozpaczą zapytywali, czem stanie się Biały Dom bez niej.

Zdrowy, pełen sił życiowych organizm i głęboka wiara (oboje małżonkowie są bardzo religijni) pozwoliły pani Coolidge zapanować nad sobą i powrócić do swych, pozornie łatwych, a w gruncie tak ważnych obowiązków.

N. J.

PRAWO O ZWALCZANIU CHORÓB WENERYCZNYCH W NIEMCZECH

W czerwcu r. b. niemiecki Reichstag, po długiej dyskusji, uchwalił prawo niezwykle doniosłego znaczenia, mające za cel zwalczanie chorób wenerycznych w państwie niemieckiem.

Na zasadzie prawa tego, które wejdzie w życie w październiku r. b., każda osoba, dotknięta chorobą weneryczną, jest obowiązana leczyc się u doktora, posiadającego prawo praktyki lekarskiej. Niezamożni leczeni są bezpłatnie.

Reglamentacja prostytucji zostaje na zasadzie tegoż prawa zniesiona, domy publiczne przestaną być tolerowane.

Każdy, kto cierpi na chorobę weneryczną, a mimo to przyczynia się do udzielania jej innym, ulegnie karze surowego więzienia.

Nie wiadomo, jakie wyniki przyniesie to nowe prawo, należy jednak gorąco przyklasnąć jego uchwaleniu, dotychczasowe bowiem wysiłki w zwalczaniu tej haniebnej bólażki ludzkości są nader nikłe, a szkody, które ona przynosi, — wprost olbrzymie.

455. ty UROCZYSTY OBCHÓD PAMIĘCI BOHATERSKIEJ
CÓRY FRANCJI

Starożytne miasto Beauvais rokrocznie, w ostatnią niedzielę czerwca, urządza obchód ku czci Jeanne Hächette, sławiąc w ten sposób pamięć drugiej, obok Jeanny d'Arc, bohaterki narodowej Francji.

W roku 1472 ostatni książę burgundzki Karol Zuchwały, buntując się przeciw władzy królewskiej, postanowił zdobyć miasto Beauvais. Po kilku dniach oblężenia wojska jego ruszyły do ataku. Miasto nie posiadało żadnej ochrony wojskowej i miało się już poddać najeźdźcy, gdy mieszczki Beauweańskie, wyszyscyżając tchórzostwo swoich mężów zagrzały ich do walki.

Dzielne niewiasty nie poprzestały jednak na drwiącem puszczaniu w ruch swoich ostrych języczków.

Uzbrojone w topory, garnki z wrzącą smołą, kamienie i t. p., ruszyły hurmem, wraz z mężczyznami, bronić zajadłe bram miasta. Wiele z nich niosło żywność i amunicję. Kobięce zastępy mężnie trwały na stanowisku, wytrzymując grad pocisków nieprzyjacielskich.

Na czele ich, z toporem w rękę, z pieśnią na ustach kroczyła młoda dziewczyna Jeanne Laisné, gręplownicza wełny.

U jednej z bram kapitan burgundzkich wojsk już po drabnie dostawał się do wnętrza miasta, gdy Jeanne uderzeniem topora rozplatała mu czaszkę i, pochwywszy z rąk jego sztandar, triumfalnie wzniosła go do góry.

Moment ten zadecydował o zwycięstwie obleganego Beauvais. Mieszkańcy jego, aczkolwiek pozbawieni broni i amunicji, porwani zapalem kobiet, zdolali uratować miasto.

Cztery i pół wieku minęło od tego czasu.

Miasto Beauvais, choć przez cały ten długi okres urzędowało corocznie uroczysty obchód ku czci Jeanne Hächette, nazwanej tak od topora (hâche) w który była uzbrojona, to jednak z czasem ceremonje te nabrały charakteru zwykłej ludowej maskarady.



Pomnik Joanny Hachette w Beauvais

Odwieczny łańcuch zdarzeń historycznych odnawia się jednak. Po tragicznych dniach roku 1918 Beauweańscy zrozumieli lepiej, czem dla ich przodków były walki z r. 1472.

Odtąd obchód Jeanne Hächette przemienił się we wzniosłą manifestację uczuć patriotycznych.

Do Beauvais w ostatnią niedzielę czerwca cała Francja przysłała swoich przedstawicieli, aby w zbiorowym holdzie uczcić pamięć bohaterskiej dziewczyny.

BRONIA SIĘ JESZCZE Z WIEŻ ALFUHARY

Zdawałoby się, że Francja, która pod względem reform społecznych kroczyła zawsze na czele ludzkości, powinna być pierwszym krajem, gdzie kobieta posiada prawa, równe mężczyźnie. Tak jednak nie jest. Kobięty francuskie dotychczas bezowocnie walczą o nadanie im praw wyborczych.

A dzieje się to w wieku XX-tym, w kraju, który wydał Joannę d'Arc, panią de Maintenon, Markizę de Pompadour, panią de Stael, Georges Sand, i t. d.

Komisja parlamentarna do spraw wyborczych opracowywała niejednokrotnie projekt prawa w tej kwestji, jednak, wobec różnicy zdań członków komisji, do konkretnych rezultatów nie doszło. Ostatnio, w marcu r. b., Komisja Senacka w głosowaniu nad odnośnym projektem prawa, opracowanym przez Ludwika Martin, odrzuciła go w całości siedmioma głosami przeciw pięciu.

Jeden z obradujących podał wówczas wniosek, aby kobiety dopuścić choćby do wyborów gminnych i municypalnych. I ten pomysł nie znalazł uznania w oczach mężczyzn, zazdrosnych o swoje wyłączne panowanie w dziedzinie spraw publicznych. (W sprawach prywatnych kobiety francuskie, przypuszczalnie, jakoś dają sobie radę.)

Zwolennicy równouprawnienia kobiet we Francji wszelkimi sposobami starają się wyłamać choć małą szczyrbę w oporze pod tym względem sfer miarodajnych. Propozycja, aby mogły głosować jedynie kobiety-wdowy, będące głowami rodzin, również pozostała w krainie dobrych chęci.

Bronią się jeszcze z wież Alpuhary.. ale, co się odwlecze, to nie uciecze. W b. miesiącu Senat ma znowu obradować nad prawem wyborczem kobiet. Liga francuska „Le droit des femmes” dokłada wszelkich usiłowań, aby zwalczyć ten upór, czy też bojaźń francuzów przed własnymi kobietami. R. C. H.

NOWY KLUB FEMINISTEK W LONDYNIE

„Nie wychodzić zamąż, nigdy się więcej nie zakochać, unikać towarzystwa męskiego, nie przyjmować żadnej pomocy, czy usługi od mężczyzny”, itd. itd. takie są główne punkty statutu nowego Klubu feministycznego, założonego w Londynie przed rokiem.

Członkiniami tego dziwnego klubu są kobiety, które doznały zawodu w pożyciu z mężczyzną, lub które — z jakichś innych powodów — nie mają zamiaru wyjść zamąż.

Każda kandydatka na członkinię klubu, zanim zostanie przyjęta, musi złożyć dowody, że została zawiedziona przez mężczyznę, i przysięgę: „nigdy nie wychodzić zamąż!”.

Lokal klubu kobiet, posiadających „mężowstręt” — mieści się w śródmieściu i urządzony jest z prawdziwie wielkoświatowym przepychem.

Wolno tam rozmawiać o wszystkim, wolno prowadzić najzacieklejsze dyskusje, lecz nie na temat... mężczyzny, chyba że jest on autorem wybitnego dzieła literackiego, albo znakomitym mężem stanu, cieszącym się uznaniem, nawet wśród tych biało-głów. „Mogą nas nazywać ekscentrycznymi, śmieszniemi, ba! nawet niemądremi niewiastami!” — mówi prezeska klubu Mrs. Grage, przystojna lady lat 35, udzielająca wywiadu dziennikarce pisma kobiecego. — „jesteśmy na to przygotowane i nie będziemy zupełnie zwracały uwagi na takie głupstwka!”

Mogę pani zaręczyć, że czujemy się doskonale i wcale się nie nudzimy... bez męskiej połowy.

Po roku egzystencji naszego klubu mamy już paręset członkiń, a nowe kandydatki napływają wciąż z każdym tygodniem. Jesteśmy jednak, bardzo ostrożne przy wyborze każdej „nowicjuszek”.

Tu chodzi, naprawdę, nie o sensację, a o normalny klub dla kobiet, zawiedzionych w życiu, oszukanych, zdradzonych, jednym słowem — osamotnionych.

W naszym klubie będą więc miały ów prawdziwy „home”, gdzie mogą się czuć, jak u siebie, swobodnie, nie tęskniąc do towarzystwa męskiego...”

— Będzie to więc klub starych panien, brzydkich niewiast, kalek, histeryczek? — pyta niezupełnie przekonana dziennikarka.

— „Niekoniecznie“... odpowiada z uśmiechem prezeska— „będzie to, raczej, hotel dla wdów, dla opuszczonych, bezdzietnych niewiast, dla takich jednostek, które, kochając raz w życiu gorąco i tracąc swych narzeczonych, czy mężów — nie mają zamiaru „kochać się“ poraz wtóry...“

Niech pani nie zapomina... przewaga płci pięknej w naszym kraju jest zatrważająca.

Czemuż starzy kawalerowie mogą mieć swe kluby i czuć się w nich jaknajlepiej?

W naszym — postaraliśmy się o wszystko, co może urozmaicić pożytecznie długie, samotne wieczory. Bo w dzień — praca zarobkowa, a po podwieczorku... rojno i wesoło u nas! Mamy place sportowe i zimowe sale do sportów wszelkiego rodzaju, mamy malarskie pracownie, studia do fotografowania, rozmaite warsztaty, gdzie — według upodobania — każda z członkiń może się nauczyć tej, lub innej sztuki stosowanej. Mamy kino, sale koncertowe, wreszcie — restauracje.

Po całodzienniej pracy członkinie przybywają do klubu, aby spożyć w gronie kulturalnych i inteligentnych kobiet wczesny obiad (godzina 7 w.), a później każda może się oddawać sztuce, rozrywkom, według gustu i upodobań, albo dalszym studjom.

W klubie można spędzać wszystkie dni świąteczne, większe święta doroczne i nawet wakacje, gdyż instytucja ta posiada pokoje hotelowe z całkowitem utrzymaniem.

Nowy ten klub feministyczny, schowany skromnie za wysokim murem, nie reklamujący się, ani bijący na tani efekt, staje się sensacją w stolicy nad Tamizą.

Synowie Albjonu mogą być poważnie zatroskani: co poczną, gdy bardziej nadobne angielski, ulegając modzie, zaczną się zapisywać tłumnie do klubu Feministek?

NADMIAR KOBIET W ANGLJI

Nadmierny przyrost kobiet w stosunku do liczby mężczyzn najbardziej, po wielkiej wojnie, daje się zauważyć w Anglii. Statystyka lat ostatnich wykazała, że jest tam obecnie o 2.000.000 więcej kobiet, niż mężczyzn — na jednego więc gentlemen'a wypada 1½ kobiety...

Słusznie więc społecznicy i ekonomiści łamią sobie głowy nad tem, jak zaradzić tej klęsce...

W całej prasie angielskiej wylaniają się rozmaite projekty, od najmądrzejszych do najbardziej utopijnych.

Największe uznanie znalazł pomysł jednego dziennikarza, polegający na tem, aby ułatwić młodym, a fachowo wykształconym kobietom, wyjazd do kolonii.

Tam łatwiej znajdują mężów i będą pożyteczne, jako pracowniczki samodzielne.

Najbardziej sensacyjnym jest projekt pewnej znanej feministki, która radzi — dla dobra ojczyzny — tolerować... wielożeństwo, jeśli nie nazawsze, to przynajmniej do czasu, aż się wyrówna na wyspie trzeźwego Albjonu, liczebny stosunek mężczyzn do kobiet.

H. S.

KOBIETA W PRZESTWORZACH

— „Motor — błękitna przestrzeń wokoło i ludzie daleko — co za rozkosz!“

Temi słowy określa lotniczka niemiecka, Thea Rasche, umiłowanie swego zawodu.

Ów pewien pesymizm w stosunku do ludzi tłumaczy się tem, że wiele ciężkich przeżyć i zawodów napotkała Thea Rasche w swym życiu, zanim mogła poświęcić się lotnictwu, o którym marzyła od dzieciństwa.

Urodzona w Essen, córka rodziców bardzo bogatych, nie mogła uzyskać od nich pozwolenia na poświęcenie się tak niebezpiecznemu i tak wówczas jeszcze nowemu powołaniu, a za wszelką cenę chciała być w życiu samodzielną, pracować na siebie i nie zależeć od nikogo. Nie mogąc zostać lotniczką, postanowiła poświęcić się scenie.

I tu jednak napotkała opór rodziców, którzy, nie żałując kosztów na kształcenie córki w śpiewie, nie chcieli nawet słyszeć o tem, aby występowała w teatrze. I byłaby może Thea wdychała jeszcze dłużej do upragnionej samodzielności, gdyby nie krach inflacyjny, w którym ojciec jej stracił majątek i, chcąc nie chcąc, musiał zgodzić się na to, aby córka zarabiała na życie. Dzielną dziewczyna zaczęła wówczas walczyć z ciężkimi trudnościami materialnymi. Była jakiś czas nauczycielką ludową w swym mieście rodzinnem, potem pracownicą biurową w Hamburgu i tam właśnie, pracując ciężko, oszczędzając każdy grosz, wprowadziła w czyn swój wymarzony plan: Zaczęła uczyć się pilotażu u znanego lotnika Bäumera i dokonywać pierwszych wzlotów.



Lotniczka Thea Rasche

Dziś jest Thea Rasche kobietą nie tylko znaną, ale zamożną: lotnictwo przynosi jej doskonałe dochody, zyskuje bowiem liczne premje na różnych konkursach i pisze książki fachowe.

Jest ona nie tylko doskonałą pilotką cywilną, ale i śmiałą lotniczką-akrobatką; fachowcy podziwiają jej wiraże, Loopingi, ogromną pewność ręki i precyzję w prowadzeniu samolotu. Nie miała dotychczas ani jednego wypadku, najmniejszego nawet uszkodzenia aparatu.

Amerycanie czynili jej wielokrotnie bardzo ponętne propozycje, odrzucała je jednak, pragnąc pracować w kraju ojczystym. Transoceaniczne loty podnieciły, naturalnie, jej ambicję i po bytności Chamberlina w Niemczech i po porozumieniu się z nim, postanowiła odbyć przelot nad Atlantykiem.

Przed kilku dniami wystartowała Thea Rasche z Essen przez Kolonję i Brukselę — do Paryża. Leciła z jednym pasażerem, odbywszy całą drogę b. szybko, z jednym wylądowaniem w Valenciennes, dla odnowienia zapasu benzyny.

Projektowany lot nad Atlantykiem odbędzie Thea Rasche w sierpniu, lecąc prawdopodobnie odwrotną drogą, t. j. z Europy do Nowego Yorku.

N. J.

PIERWSZA CZARNA HRABINA

Nieprawdą jest, że niema nic nowego pod słońcem. Dotychczas nie zdarzyło się jeszcze, aby autentyczny hrabia złożył swoje nazwisko i tytuł u hebanowych stóp murzyńskiej piękności. A oto świat posiada pierwszą czarną hrabinę. Jest nią urocza Josephine Baker, bożyszcze Paryża, czekoladowa tancerka, której gracia, wdzięk i żywiołowy temperament podbiły kapryśne serce nadsekwańskiej stolicy.

Szczęśliwym i pozbawionym rasowych przesądów małżonkiem Józefiny jest hr Albertini, potomek starożytnego rodu włoskiego, który poślubił ją dn. 3-go czerwca w Paryżu.

Należy dodać, że nowokreowana hrabina jest tancerką wprost niepospolitą; umiano ocenić jej wartość w stolicy świata, płacąc jej za występy zawrotne honoraria, to też hr. Albertini otrzymał za żoną w posagu znaczny majątek.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani M. Rob. Niezmiernie jesteśmy wdzięczni za życzliwe słowa. Wydaje nam się, jednak, że cała nasza działalność wyrażona jest właśnie w kierunku jaknajintensywniejszego rozwoju poczucia obywatelskości w szerokich kołach kobiecych. Nie zasklepiając się w ramach jakiegokolwiek partii, staramy się wszelkimi drogami dotrzeć do świadomości polskiej i wytknąć jej wysoki, dobro kraju mający na względzie — cel. I — ze swojej strony — nie widzimy dostatecznej racji wysnuwania pesymistycznych wniosków z coraz bardziej wzmagającego się ruchu kobiecego. Dbałość o wszelkie dziedziny pracy, wzmacnianie każdej nowej, z trudem nieraz zdobytej, placówki na szerokim terenie całości kształtu roboty społecznej, uważamy za bardziej wskazane, niż jednostronna agitacja przedwyborcza.

Pani Cz. Ber. Prześliczny, młody list Pani sprawił nam doprawdy, wielką przyjemność. Śmiemy upewnić raz jeszcze, że zakwalifikowanie do druku czegoś, co naprawdę na to zasługuje, daje — nam przedewszystkiem — ogromną, a potem — mniejszą, lub większą radość autorom. Nowela Pani z pewnością wyjdzie w miesięczniku „Na Fali”. Niestety, jednak, nigdy nie możemy ściśle oznaczać terminu. Honorarjum i numer autorski wyślemy następną pocztą. Prosimy o dalsze materiały.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Panna Flûte”, komedia w 5 odsłonach G. Berr'a i L. Verneuil'a, przekład Gustawa Olechowskiego, reżyserja Karola Borowskiego

Dość spojrzeć na repertuar teatrów warszawskich, aby skonstatować pełnię sezonu ogórkowego. Opera, po triumfalnych występach Kiepury zatrzasnęła z godnością kasę i podwoje teatru, Qui pro quo zamknięte, teatr Ćwiklińskiej i Fertnera zamknięty w „Małym” — remont, a pozostałe trzy przybytki Talji oscylują między komedią, a zdecydowaną farsą. Jednym słowem — raj dla słomianych wdowców!

Ostatnia premiera w Polskim na długo zapewniła sobie powodzenie wśród publiczności, głównie dzięki grze Modzelewskiej, porywającego urwisa, najsympatyczniejszego z krowoderskich zuchów. To, że kobieta zawsze pragnie być młodą, jest prawdą starą, jak świat; że były i są kobiety, którym się to udawało bez uciekania się do sztuk magicznych, — dowodem słynna Ninon de Lenclos, a choćby — szczęśliwie czarująca tłumy — pięćdziesięcioletnia Mistinguette. O naszych diwach nie mówię, bo z wielkimi ceregielami przekraczają zaledwie trzydziestkę. Fakt, że najprawowici i najlegalnie urodzony syn był brany za brata, lub kochanka swej własnej matki, zdarzał się w najporządniejszych rodzinach, nawet za czasu trenów i długich włosów. O faktach tych wiecznie młode „mamusie” lubią wspominać, szczególnie, gdy zostały już babbkami.

Ale, żeby własnego syna przedstawić w wywiadzie dziennikarskim, jako własnego ojca, na to trzeba być diwą kabaretową no i... wielkoświatową kokotą jednocześnie, dla której koniec młodości równa się ruinie materialnej. Arcykomiczne perypetje owej bulwarowej „panny Flûte”, której synowi zachciało się koniecznie żenić z panną z burżuazyjnego domu (córka prezesa sądu), rzucone na tło awanturycznego życia ulubienicy mężczyzn, wypełniają, a raczej rozsadzają ramy tej farsy, która — dzięki niezrozumiałemu snobizmowi autorów — ochrzczona została komedią. Ktoś złośliwy określił tę sztukę nawet, jako „cyrk”, ale był to biedak, który napewno nie posiadał własnego auta, a tacy nie mają powodzenia u „panien Flûte”.

Ekspozycja w pierwszym akcie wydała mi się nudna i sztuczna, tembardziej, że wszyscy aktorzy uparli się mówić przez nos

jak hrabiowie w prowincjonalnym teatryku. Potem zrozumiałam dlaczego było nudno. Brakowało na scenie Modzelewskiej. Jej temperament sceniczny, jej instykt łobuza z Bożej łaski związał scenę z widownią tysiącem ognistych nici. Publiczność zapaliła się jak proch od lontu. A potem to były już same wybuchy: Szaleństwa na scenie, śmiech na widowni. Uciecha doszła do szczytu, gdy panna Flûte ukazała się w roli 13-letniej dziewczynki, z gołymi nogami i kokardą w czuprynce.

W tym całym jarmarcznym rozgardjaszu przeoczono jedną ważną rzecz, obniżającą wartość gry Modzelewskiej, wartość czyściej wody aktorską. Świetna artystka dała się zanadto unieść własnej młodości. Zapomniała, że panna Flûte ma naprawdę lat... no, chyba czterdzieści, i że wiek, pomimo wszystko, ma swoje prawa. Trzeba go było podkreślić jakimś leciuchnym cieniem zmęczenia, obawy, melancholji, przeczucia, — bez tego cienia sylwetka panny Flûte była jednostronnie skąpana w świetle, nie miała perspektywy.

Za cwałem Modzelewskiej drobniejszym znacznie truchciem podążała reszta wykonawców, stanowiąc doskonałe dla niej tło. Zdaje się, że aktorzy bawili się równie dobrze, jak widzowie.

TEATR NARODOWY

„Aktorki”, komedia w czterech aktach Stefana Krzywoszewskiego, — reżyserja Ludwika Solińskiego, dekoracje Wincentego Drabika.

„Miłość tem się różni od bigosu, że nie powinno się jej odgrzewać”. Można to samo powiedzieć o dobrych, „tętniących współczesnością”, zbyt po dziennikarsku traktowanych, zbyt aktualnych sztukach. Wczoraj — mogły być rewelacją, dzisiaj trącą przedczesną myszką, jak suknia „dernier cri” z przed pięćciu laty.

Któż nie pamięta niefortunnego wznowienia „Karykatur” Kisielskiego, swego czasu uchodzących za arcydzieło? Dramat „szalonej Julki” w epoce, kiedy całą Warszawą trzęsą uczenie Szkoły Sztuk Pięknych, wydał się anachronizmem równie komicznym, jak wyrzekanie na pańszczyznę w czasie, gdy chłopci rej wodzili w rządzie.

„Aktorki” Krzywoszewskiego były sensacyjną premierą dwadzieścia lat temu, kiedy małżeństwo z aktorką było prawdziwym skandalem w porządnej rodzinie, a godność posła do Dumy — istotnym posłannictwem. Dziś czasy się zmieniły. Żeby złapać dobrą partję, niejedna panienka stara się dziś dostać na scenę, no, choćby do szkoły dramatycznej, albo do instytutu Reduty, bo deski teatralne, to doskonała trampolina do wejścia w świat. A posłowie sejmowi? Mamy ich zbyt wielu, żeby interesować się ich życiem prywatnym, o ile nie wkracza w dziedzinę szkodnictwa społecznego, lub państwowego.

A zatem, pod kątem widzenia współczesności, „Aktorki” przekreśliły się doszczętnie. Pozostał z nich tylko nieśmiertelny problemat miłości, utajonej walki dwóch płci, drzemającej jak wąż pod kwiatami. On jest istotną psychologiczną osią konfliktu między osobami komedji: Anną, a posłem, Justysią, a dziennikarzem Nieciuszka.

Z tego Nieciuszki prawdziwe arcydzieło zrobił Zelwerowicz. Psychologiczne pogłębienie, mistrzowskie opracowanie szczegółów, wzięcie się w krew i mięso romantyka-bankruta, wysunęło tę postać na czołowe miejsce w komedji. Nieciuszko każdym swym słowem budził zainteresowanie, każdym stłumionym westchnieniem współczucie. Był w bankructwie swoim rozrzutny, w poniżeniu — szlachetny, wobec dzieci, kobiet i prostaczek — promieniejący dobrocią i ciepłem wewnętrznym, w swym cichym dramacie w miarę patetyczny i wzniósł.

Był żywym, bliskim nam człowiekiem.

Pancewiczowa i Majdrowiczówna były dobrimi aktorkami, a Aldona Jasińska — pełną temperamentu „cnotliwą” sekutnicą. Pozostałe role męskie nie wykraczały poza poprawność. S.P.O.



Trzy wazony, wykonane w fabryce Belwederu

SŁÓW KILKA O CERAMICE POLSKIEJ

(Z powodu Wystawy Ceramiki polskiej w Muzeum Rzemiosł i Sztuk Stosowanej w Warszawie).

Zanim wejdę in medias res — parę wyjaśnień technicznych o istocie ceramiki i jej główniejszych odmianach. Szeroko rozpowszechniona na świecie glina (po grecku keramos — stąd — ceramika) stanowi zasadniczy materiał dla produkcji ceramicznej. Mniej, lub więcej szlachetne gatunki gliny, w połączeniu z wodą i innymi surowcami, jak to: krzemionką, kredą, feldspatem i t. p., poddane działaniu ognia w rozmaitej temperaturze, dają w rezultacie wyroby garncarskie, fajans i porcelanę. Najbardziej rozpowszechniona gałąź ceramiki, — garncarstwo (ludowe i przemysłowe) i ceramika budowlana, operują na glinach spolitych. Biała i żółtawa glina (t. zw. fajansowa), służy za materiał dla fajansu, wreszcie pokłady kaolinu stwarzają warunki dla wyrobu porcelany. Techniczne sposoby przygotowania masy i wypalania dodały do wymienionych zasadniczych trzech rodzajów ceramiki jeszcze majolikę i kamionkę.

Garncarstwo w Polsce było rozpowszechnione od najdawniejszych czasów. Znajdowane w wykopaliskach przedmioty świadczą o szlachetności formy

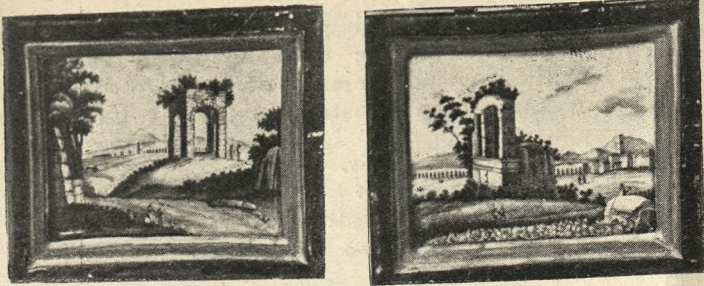
i zdobienia przy całej ich prostocie. Najwięcej między nimi odznaczały się dzbanki, które zachowały swój kształt i w późniejszej dobie. Do dzbanków tych spotykamy taką apostrofę u Jana z Czarnolasu:

Dzbanie mój pisany,
Dzbanie polewany!
Bądź płacz, bądź żart, bądź gorące wojny,
Bądź miłość niesiesz, albo sen spokojny.
Jakkolwiek zwano
Wino, co w cię lano,
Przymknij się do nas a daj się nachylić,
Chciałbym twym darem gości swych posilić!

Szeroko używano wyrobów garncarskich w budownictwie. Jednym z najświetniej zachowanych zabytków sztuki ceramicznej są drzwi kościelne kościoła św. Jakóba w Sandomierzu, wykonane w glinie palonej, w części polewanej. Sposób wykonania jest chlubnym świadectwem technicznego rozwoju ceramiki w Polsce przed 700 laty. Pozostałe pozatem kafle, tafelki posadzkowe, ozdoby pieców z XIV—XV w. również świadczą o wysokim artyzmie naszych garncarzy. Wszędzie, gdzie warunki miejscowe i obfite złoża gliny sprzyjały rozwojowi garncarstwa, powstawały całe osady garncarskie, i wyroby polskie z Iłży,



871. Półmisek majolikowy, pochodzenie nieustalone. 881. Medaljon z żółtej gliny — wyrób Lubartowa. 970. Kafel o zielonej polewie z orłem. 990. Kafel czworokątny — biały z niebieskim. 993. Kafel żółty z brązowym i zielonym. 994. Kafel biały z ornamentem zielonym i brązowym. 998. Wazon, znaleziony w Kieleckiem na miejscu dawnej kaflarni.



Para plakietek ściennych—wyrób fabryki w Baranówce

Tarłowa, Ćmielowa,—szły Wisłą do Gdańska i stamtąd morzem aż do Szwecji.

Ogólny upadek przemysłu w XVII w. odbił się także i na garncarstwie. W XVIII w., aby je podnieść z upadku, Stanisław Staszic sprowadził do Łży z zagranicy uzdolnionych majstrów - garncarzy.

W XVIII w. rozpoczyna się również rozkwit innych szlachetnych rodzajów ceramiki: fajansu, majoliki i porcelany. Już w połowie XVIII w. powstają, dzięki poparciu możnowładców, fabryki Radziwiłłowskie w Świerznii i Białej Podlaskiej, fabryka Potockiego w Cudnowie, Tyzenhauza w Grodnie.

Jednocześnie rozwija się wytwórczość ceramiczna na Górnym Śląsku (Bolesławiec, Prószków, Glinica) z obcej, wprawdzie, inicjatywy, lecz trudem polskiego ludu śląskiego, z którego łona wyszli biegli majstrowie, twórcy pięknych małych arcydzieł, gromadzonych w muzeach niemieckich, mniej, niestety, reprezentowanych w polskich. W drugiej połowie XVIII w. król Stanisław August zakłada fabrykę fajansu w Belwederze, która krótko trwała (do 1783 r.), zastąpiona przez fabrykę Wolfa w Warszawie na Bielinie. W końcu tegoż stulecia powstaje fabryka Ogińskiego w Telechanach. Wszystkie wspomniane fabryki noszą wspólne cechy szkoły Hannong'a ze Strassburga, który wywarł swój wybitny wpływ na całą ówczesną wytwórczość ceramiczną w dziedzinie fajansu na wschód od Renu (w Niemczech, Polsce, na Węgrzech).

W wazonach Belwederu i Wolfa widzimy wyraźny wpływ modnej podówczas chińszczyzny, zarówno w kształtach, jak w zdobieniu.

Niezatartymi zgłoskami zapisały się w dziejach ceramiki polskiej imiona członków rodziny Mezerów, poczynając od Franciszka Mezera, który objął kierownictwo założonej w 1783 r. przez ks. Józefa Czartoryskiego fabryki fajansu i porcelany w Korcu na Wołyniu, pracując wspólnie z bratem Michałem. Po kilku latach istnienia fabryki pod umiejętnym kierownictwem braci Mezerów doszła ona do takiej doskonałości, że wyrobami swojemi wyparła obcą porcelanę, przynosząc sówite zyski swoim akcjonariuszom. Pożar fabryki Koreckiej w 1797 r. spowodował czasowe jej zamknięcie, przyczynił się jednak do utworzenia kilku nowych fabryk. Powołany przez ordynata Zamoyskiego, Franciszek Mezer objął zarząd nad założoną w Tomaszowie fabryką porcelany i fajansu, zaś Michał Mezer założył własną fabrykę w Baranówce, obfitującej w bogate pokłady glinki porcelanowej, w bliskim sąsiedztwie odkryte. Dwie wspomniane fabryki, obok odbudowanej przez ks. Józefa Czartoryskiego fabryki Koreckiej i nowozałożonej przez niego w Horodnicy—stanowią chlubę polskiej ceramiki w tak zwanych grupach: wołyńskiej i rawa-

ruskiej. Świadczą one o wysokim uzdolnieniu polskich pracowników, zarówno robotników, jak malarzy i modelatorów, nie ustępujących artystom ceramicznym Sevru i Miśni.

Odbudowana przez ks. J. Czartoryskiego fabryka Korecka, pod kierownictwem powołanych z Francji dyrektorów Mérault'a i Pétion'a, z początku nie ustępowała dawnej z czasów Franc. Mezera—zwłaszcza za rządów Mérault'a, który przyniósł z sobą i technikę i styl Sevru z doby pierwszego cesarstwa. Po odejściu Mérault'a, już za Pétion'a, fabryka, pod wpływami rosyjskimi, stosując się do wymagań rynku, szybko chylić się zaczęła ku upadkowi i zwinieniu, które nastąpiło w 1832 r. Fabryka w Tomaszowie, po świetnych czasach F. Mezera, wydawszy wielką ilość pięknych i dziś nader rzadkich wyrobów, przeważnie w stylu empirowym, zmuszona była zakończyć swoją działalność po utworzeniu Królestwa kongresowego w 1815 r. i odcięciu od źródeł surowca w pow. Rawa-Ruska, który został przy Austrii. Najdłużej przetrwała fabryka Baranowiecka, dzięki niewyczerpanym swoim zasobom glinki porcelanowej, i podobno działa jeszcze pod władzą sowietów. Dla ścisłości wspomnieć należy pomniejszych fabryk ceramiczne z grupy wołyńskiej, powstałe już w XIX w. jak: Emilczyn, Romanów, Barasze, Kamienny Bród, Bielotyń.

Obok powyżej wymienionych wielkich i małych fabryk porcelany i fajansu, wspomnieć należy stworzone, dzięki pomyslnym warunkom miejscowym i ini-



Wyroby fabryki w Korcu

cyjatywie przedsiębiorczych ludzi, szereg innych wytwórni ceramicznych w granicach byłej Kongresówki i Małopolski. Stoi tu na pierwszym miejscu Ćmielów, (fajans, porcelana i majolika) największa wytwórnia polska, istniejąca od 1790 r.; dalej cała grupa opatowska, jak: Denków, Brzostowa, Kunów, Matackowa, Gromadziec, Rzuchów i in., w pow. Rawa-Ruska: Potylicz, Siedliska, Lubycze, w Kaliskiem: Koło (Frendenreich) i Sławsk (Wężyk-Rudzki); w Radomskiem: Iłża i Jedlnia; w Sandomierskiem — Staszów, słynny z wyrobów fajek-stambułek, i Rytwiany, wreszcie Lubartów. Fabryka w Lubartowie, założona przez H. Łubińskiego w 1842 r., niedługo istniała; wydała jednak odznaczające się szlachetnością formy wyroby z fajansu i kamionki, przeważnie barwione: koszyczki plecione, figurki zwierząt, wazoniki o klasycznych kształtach i in. Całkiem indywidualnie, wśród wytwórni o charakterze fabrycznym, stoi Ignacy Ceyzik, nadzwyczaj zdolny modelator, celujący w małych, misterych wyrobach z t. zw. zadymionej gliny, nader rzadkich obecnie.

Założona przez ks. Michała Radziwiłła w 1880 r. fabryka majoliki w Nieborowie przetrwała niedługo, wyrabiając przedmioty dekoracyjne, naśladowane niezbyt udanie, co do formy i zdobienia, wzory francuskie (Nevers, Rouen) i włoskie z XVII w. Wyroby te, przeważnie wazy, żardiniery, dzbanki przeładowane akcesorjami, zbyt jaskrawe w ornamentacji, nie świadczą o wysokim artyzmie twórców, aczkolwiek mają swoich miłośników.

Koniec XIX w. jest jednocześnie końcem zamkniętego już okresu ceramiki polskiej, którego charakterystyczną cechą jest brak oryginalnego pierwiastka swojskiego w wytwórczości fabrycznej, za wyjątkiem ostatnich czasów Koła, Iłży i Ćmielowa, w których występują motywy ludowe w zdobieniu.

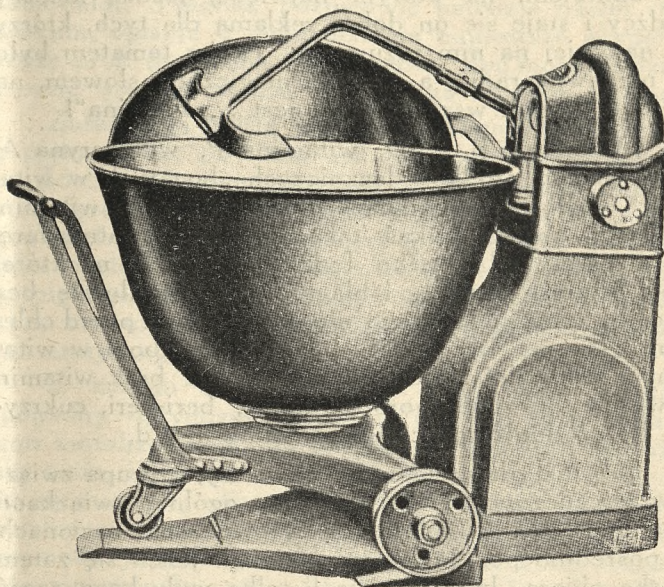
Okres po 1900 roku wykazuje wyraźną różnicę w porównaniu z poprzednim. Spotykamy się tu z szukaniem zarówno nowych form, jak i nowych metod zdobienia. Widzimy to na pracach St. Jagmina, Bolesława i Janiny Czarkowskich, Wandy Szrajberówny, w wyrobach fabryki Wojnackiego i Czechowskiego, wreszcie na pracach szkół zdobnictwa w zakresie ceramiki, (Warszawa, Kraków, Poznań) kierowanych przeważnie przez wspomnianych artystów-ceramików, oraz prof. T. Szafrana i K. Tichy. O ile dział retrospektywny, przedstawiony jest na Wystawie w sposób niemal wyczerpujący, który daje obraz rozwoju ceramiki polskiej w XVIII i XIX w., działy ceramiki nowoczesnej i ludowej sztuki ceramicznej są reprezentowane doraźnie, w zależności od rozporządzalnego materiału i lokalu wystawy. Obydwa te działy czekają na swoją kolej po gruntownym przygotowaniu i opracowaniu rozproszonego po naszych muzeach i ukrytego w zbiorach prywatnych obfitego materiału, co oby nastąpiło jak najprędzej i w stosowniejszym miejscu — da Bóg — w nowym gmachu Muzeum, któryby dostojęństwu stolicy kraju odpowiadał.

Iza Czajkowska.



HISTORIA CHLEBA I DZISIEJSZE OD NIEGO WYMAGANIA

Wymieszanie ciasta odbywa się obecnie prawie wszędzie przy pomocy maszyn. Załączony rysunek ukaże nam taką zmechanizowaną rękę, która w podstawionym wózku — dzieży, wykonywa identyczne ruchy, jakie czyni ręka ludzka. Ramię to, przechodząc przez całą zawartość wózka, powoduje równocześnie jego obracanie się, dzięki czemu coraz inna partja ciasta zostaje przemieszana. Jeżeli zważymy, że dobre wymieszanie ciasta jest jednym z warunków dobrego pieczywa, to zrozumiałą staje się konieczność takiego urządzenia nie tylko w piekarni, ale i w domowym gospodarstwie. Dostosowane urządzenia te rozpowszechniają się w Ameryce tak, jak maszynka do mielenia mięsa.



Maszynka do gniecenia ciasta

Z wyrośniętego ciasta kształtuje się ręcznie kule, lub walce, które przybierają potem kształt chleba okrągły, lub wydłużony. W dużych piekarniach czynność tę wykonywują maszyny, w ilości kilku tysięcy sztuk na godzinę.

Pieczenie chleba odbywa się w piecach piekarskich; o ich rozwoju historycznym już wspominałem, ale choć zasada wypieku pozostała nie zmienioną, to jednak obecny wygląd pieców różni się zasadniczo od dawnego wyglądu. Postawienie takiego pieca jest sztuką tak trudną, że dotychczas udaje się to tylko jednej firmie w Polsce, a koszt jego wynosi około 20.000 zł.

Temperaturę można w nim w wygodny sposób regulować, w zależności od potrzeby dla danego rodzaju wypieku. Potrzebną ilość pary wodnej w piecu doprowadza się przez pociągnięcie zasuw, przy otwarciu drzwiczek, wewnątrz pieca zostaje równocześnie automatycznie oświetlone lampką elektryczną, a czystość całego nie ustępuje czystości salonu. Stanie się to zrozumiałe, gdy dodam, że opalanie pieca odbywa się w innym miejscu, — nie jak dawniej, pod kopułą, — a tylko żelazne rury doprowadzają potrzebną ilość ciepła do miejsca wypieku.

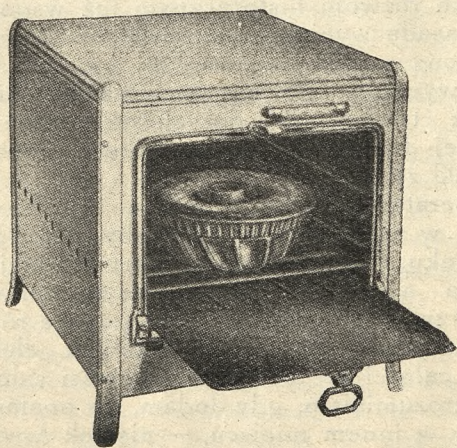
Pieczyno, zależnie od swej wielkości i gatunku, potrzebuje różnego czasu i różnej temperatury przy wypieku, mniej więcej od 150° do 300° C.; samo jednak, temperatury tej nie osiąga, a tylko zewnętrzna część pieczywa zagrzewa się do temperatury karmelizacji cukru, co nadaje mu ten ładny, „rumiany“ wygląd. W temperaturze około 70° C. następuje sklejanie skrobi zbożowej i stężenie kształtu. Chleb, dobrze wypieczony, winien być wszędzie równomiernie w miarę porowaty, nie być za wilgotny, ani wysuszony i powinien posiadać ładny kolor i nie odpryskującą skórę.

Gospodynie Zachodu, doceniając dobre piecy i umiejętność wypieku, często zanoszą z domu przygotowane ciasto do piekarni dla wypieku; obecnie niektóre świetne piecyki gazowe umożliwiają dobry wypiek i w domu przy minimalnych kosztach.

Każdy wiek ma swój wielki, modny temat, o którym się powszechnie mówi, pisze, dyskutuje. Staje się on konikiem, na którym najczęściej jeżdżą kiepscy jeźdźcy i staje się on dobrą reklamą dla tych, którzy się najmniej na nim rozumieją. Takim tematem było do niedawna radjo, a obecnie magicznym słowem, na którego dźwięk wszyscy stają, jest... „witamina“!

Witamina B, C, D, witamina P, witasteryna A, E, F, szereg środków leczniczych „bogaty w witaminę“, jadłospisy, podające ilość zawartych witamin, wszystko stwarza jakąś taką podnieconą atmosferę, która przeskadza tylko ludziom nauki, a na której robią interesa humbug i blaga. Nie obeszło się bez tego, by zagadnienia tego nie postawiono i przed chlebem: jaki ma być chleb, bogaty, czy ubogi w witaminę? Naturalnie, bogaty! — przecież brak witamin wywołuje okropne choroby: gnilec, beri-beri, cukrzyca, bezpłodność, próchnienie zębów i t. d.

Jak już, zdaje się, wszyscy wiemy, — grupa związków chemicznych, które nazwano ogólnie związkami witaminowymi, znajduje się w owocach i nasionach bezpośrednio pod łuską, lub skórą. Jeżeli się zatem skórę odbiera, lub spożywa li tylko wyłuskana część ziarna, to w takim razie związki te są dla organizmu bezpowrotnie stracone. A zatem mąka ciemna (w której jest trochę otrąb) posiada, a mąka biała nie posiada związków witaminowych. I oto stanęło przed nami wielkie zagadnienie, nad którego rozwiązaniem biedzą się uczeni, a zdania ich są podzielone, — z ilu procentowej mąki należy chleb wypiekać? Różne tu



Najnowszy piecyk do pieczenia ciasta

występują czynniki decydujące: szerokie zagadnienie społeczne, które pomniejsza, lub powiększa o miliony rocznie bogactwo narodu, cena bochenka chleba, jego wartość odżywcza, wreszcie upodobania smaku. Że mniejsza ilość otrąb, usunięta z mąki, powiększa wartość zboża, każdy to rozumie, jak i to, że ciemny chleb jest tańszy; jednak odżywcza wartość chleba jest sprawą b. skomplikowaną, w przeciwieństwie do upodobań smaku, który jest indywidualny.

Otręby, w których skład chemiczny wchodzi przeważnie drzewnik (celuloza), wnoszą do organizmu ludzkiego minimalne wartości odżywcze, pobudzają natomiast kiszki do żywszej działalności — stąd chleby „Kneipa“, „Graham'a“ i t. p. Chleby białe są z tego powodu pożywniejsze o mn. w. 20% i nie obciążają zbyt ciężko żołądka, wywołując uczucie przeładowania.

Państwa południowo-zachodniej Europy, doceniając tę wartość chleba białego, wprowadzały coraz bielszy chleb w swoim wojsku. Obecnie, gdy wystąpiła sprawa witamin, zawartych w otrębach, całość tego zagadnienia bardziej się skomplikowała. W tej chwili trudno się definitywnie o tem wypowiedzieć ogólnie, tem więcej, że są to sprawy, zależne w dużej mierze od indywidualnych okoliczności: z czego składa się całodzienne pożywienie danego osobnika, w jakiej mierze jest przez niego konsumowany chleb, jaką siłę trawienia posiadają kiszki i t. d.

Spożywanie polerowanego ryżu i prawie niczego więcej! mogło wywołać u chińczyków chorobę, zwaną beri-beri: przy naszym urozmaiconym pożywieniu podobne skutki są wykluczone, choćbyśmy jadaliby tylko chleb jaknajbielszy. Wielką, natomiast, rolę odgrywają duże ilości chleba, spożywanego przez klasy robotnicze, lub osławiony chleb z herbatką w życiu studentów.

W ostatnich czasach pojawiły się chleby: — w Krakowie — z żyta, w Warszawie — z pszenicy — pod nazwą „Witamina“; są to chleby z pełnowartościowej mąki, której otręby są w możliwie idealny sposób zmielone, by ułatwić ich trawienie, a raczej wszystkiego tego, co jest do strawienia możliwe. O ile, jak już wyżej wykazałem, wartość otrzymanych tym sposobem witamin jest względna, to o tyle pszeniczny chleb witaminowy posiada bez porównania większą wartość od żytniego. Nie chcę tu szeroko wykazywać wyższości pszenicznego chleba nad żytnim, jego większej pulchności, łatwiejszej strawności, dwukrotnie lepszego wykorzystania go przez organizm ludzki, bo są to różnice tak widoczne dla każdego, kto miał kiedyś sposobność najeść się kwaśnego chleba razowego, że nie potrzebuję się nad tem rozwodzić; powiem tylko tyle, że chlebem razowym, który się z dnia na dzień zostaje i jest zpowrotem zabierany do piekarni, nawet nie można karmić koni, w obawie, by — jak pegazy — nie wleciały w powietrze.

Że więc pszeniczny chleb — w miarę — „bogaty w witaminę“ ma pewną rację bytu nie ulega kwestji; natomiast projekt chleba o znacznej ilości otrąb, choćby nosił tak piękne miano, jak „Wyskok witaminowy“, należy chyba uważać za najnowszy dowcip.

M. Szadurski.



KOBIETA NOWOCZESNA*)

Zmieniły się czasy: Kobieta zdobywa sobie coraz większe znaczenie w życiu społecznym, ekonomicznym i politycznym. Mężczyzna, dawny pan i władca, przed którego jowiszowem spojrzeniem drżała biedna białogłowa, stracił mocno na swojej wszechwładzy. Z monarchy absolutnego stał się królem konstytucyjnym, a jest uzasadniona nadzieja, że i te szczątki pyśznego majestatu w proch się rozsypią, i męski tyran przejdzie do rzędu zwykłych śmiertelników. Kobieta przestała być bluszczem, owijającym się trwożnie wokół szyi i ramion mężczyzny.

Wyszędłszy z mroków niewoli, próbuje znaleźć swoją własną drogę, — któraby możliwie najlepiej odpowiadała jej właściwościom duchowym i fizycznym. Usłużnych i skwapliwych doradców ma wielu; mało jednak takich, którzyby pewność siebie i przekonanie o własnej nieomyślności łączyli z poważniejszym zasobem gruntownych i dobrze przemyślanych wiadomości. Zresztą są to przeważnie mężczyźni, nie mogący z natury rzeczy zrozumieć skomplikowanej duszy kobiecej. W powodzi głupstw i nedorzecznosci giną nieraz zdrowe i rozsądne myśli.

Książka Dr. Julji Świtalskiej jest pod tym względem dziełem naprawdę przełomowym. Na miejscu chaotycznej, anegdotycznej gadaniny, oraz bezplanowych i często szkodliwych zaleceń, stawia system jasny, logiczny, zwarty i konsekwentny. Niema w nim jakichkolwiek niedociągnięć, niedomówień i fałszywej pruderji. Autorka przedstawia w sposób szczegółowy, i przejrzysty to, co ma robić kobieta, aby zachować radość życia, piękno cielesne i duchowe, szczęście rodzinne, t. j. rzeczy, które nietylko dla kobiety, ale i dla każdego człowieka są skarbem najdroższym.

Droga, wiodąca do osiągnięcia tych celów, nie jest bynajmniej łatwa. Dr. Świtalska dzieli życie kobiety na kilka okresów: 1) niemowlęcy, 2) dziewczęcy, 3) paniński, 4) dojrzały, 5) przejściowy, 6) starości.

Przez pierwsze trzy okresy, kiedy kobieta zazwyczaj znajduje się pod opieką rodziców, oni powinni dbać o to, aby rozwój jej odbywał się racjonalnie i bez większych wstrząśnień. Czystość moralna i fizyczna, powietrze i słońce, oraz racjonalne odżywianie i higieniczne odzienie, są w tym okresie najważniejszymi elementami dobrego wychowania,

Dr. Świtalska z całą bezwzględnością piętnuje dotychczasowy system nauczania w szkołach średnich, tak zgubnie oddziaływający na stan fizyczny i umysłowy dziewcząt. Domaga się zbiorowego protestu matek przeciwko torturowaniu ich dzieci; zwalcza nierozsądny zwyczaj pchania dziewcząt na uniwersytety. Uważa, iż tylko jednostki, wybitnie uzdolnione, winny się kształcić w wyższych uczelniach; ogół, mniej, lub tylko przeciętnie zdolny, powinien kształcić się w niższych, lub średnich szkołach zawodowych, dających fach do ręki. Zachęca, wreszcie, kobiety do pracy w handlu i przemyśle.

W drugiej części swej książki Dr. Świtalska daje wskazówki kobiecie, jak ma postępować w wieku dojrzałym, gdy nie spoglądają już na nią życzliwie oczy rodziców, a sama musi znaleźć drogę, któraby ją zawiodła do szczęścia.

*) Dr. J. Świtalska. „Kobieta nowoczesna we wszystkich okresach jej życia“.

Autorka w książce swej daje cenne wskazówki, dotyczące stosunków małżeńskich i higieny życia seksualnego. Ogromną wagę przywiązuje do pozornych drobiazgów, na które u nas, niestety, ogół kobiet tak mało zwraca uwagi, a które stanowią często podstawę małżeńskiego pożycia.

Kobiecie starszej, której już naturalne środki nic pomóc nie mogą, radzi dr. Świtalska usuwać pewne przedwczesne objawy starości. Trudno np., aby kobieta ścierpiała pojedyncze siwe włosy, które można doskonale zaczernić, lub też tolerowała zmarszczki, dające się wygładzić, albo dźwigała pokłady tłuszczu, których można się pozbyć. Nadchodzi jednak moment, kiedy trzeba mieć odwagę powiedzieć sobie — pas. „A jeżeli nie, no, to trudno“.

Okres starości kobiety nowoczesnej odsuwa dr. Świtalska w daleką przyszłość. W swoim czasie Balzac wprawiał nas w zdumienie niezrezygnowaną jeszcze „kobietą trzydziestoletnią“; dzisiaj autorka „Kobiety nowoczesnej“ chciałaby odsunąć starość kobiety jaknajdalej. Pragnąc pozostawić nadzieję nawet starszkom, opisuje z entuzjazmem najnowsze eksperymenty prof. Steinacha i Woronowa. Być może, iż dzięki nim, starość będzie piękniejsza i więcej barwna.

Zasadniczą myślą autorki tej cennej książki jest, że piękność nie powinna być jedynym ideałem kobiety. Zdobycie jasnego poglądu na życie, oraz zdolności do pracy na szerszej jego arenie — musi być ideałem każdej kobiety, pragnącej mieć oblicze nietylko cielesne, ale i duchowe. Przychodzi, zresztą, okres, kiedy piękność fizyczna niknie, i wtedy biada kobiecie, która nie umiała wyjść z ciasnego kręgu zainteresowań erotycznych!

Z książki dr. Świtalskiej wieje jakiś radosny i pogodny optymizm. Niema w niej ani krzty obłudnego moralizowania, lub zrzędzenia. Rozumie ona, jak nikt może inny, zmienną i tajemniczą duszę kobiety. Do jej mrocznej alkowy chciałaby wnieść jaknajwięcej słońca i radości. Książką swoją przysłużyła się ogromnie tysiącom swoich siostr-kobiet, które szukają dróg po omacku, nie widząc, iż jest jasny i widny gościniec, po którym każda z nich śmiało stąpać może. „Kobieta nowoczesna“ winna znaleźć się na biurku każdej kulturalnej kobiety polskiej. Dr. J. K.

JUŻ WYSZŁA Z DRUKU KSIĄŻKA
Dr. JULJI ŚWITALSKIEJ

p. t.

**KOBIETA NOWOCZESNA
WE WSZYSTKICH OKRESACH
JEJ ŻYCIA**

Książka ta w sposób rozumny i pełen doświadczenia życiowego ujmuje zagadnienia życia kobiecego od dzieciństwa aż do starości i niewątpliwie stanie się przyjaciółką każdej nowoczesnej kobiety.

Cena 6 zł.

Z poleconą przesyłką pocztową 6 zł. 60 gr.

Skład główny w Tow. Wyd. „Bluszcz“

Po otrzymaniu 6 zł. 60 gr. przekazem, lub przez P. K. O. na konto Nr 13.555, książkę natychmiast wysyłamy.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie kosztę pocztowe, nie wysyłamy.

KROK NAPRZÓD

Na zmianach, jakie zaszły w życiu codziennym po wojnie, najbardziej ucierpiała klasa średnia, tak u nas zwana, inteligencja, a raczej, myślę się: ucierpiała najbardziej, tak zwane, klasy posiadające, które w znacznej części przestały cośkolwiekby posiadać i powiększyły kadry tejże pracującej inteligencji. Kobiety szczególnie, przywykłe do wygod i zbytku, stanęły zupełnie bezradne wobec innych warunków, innego otoczenia, szczupłych środków, lub prawie zupełnego ich braku. Nie były przygotowane do takich zmian: nie umieją się obejść bez licznej służby, nie umieją sobie sprzątać szczupłego pokoiku, ugotować skromnej strawy, zacerować drącej się bielizny. I nikt im dotąd nie przyszedł z pomocą. Mamy doskonałe szkoły gospodarcze w Chyliczkach i w Pniowach, w Kuźnicach i t. p.; są one jednak przeznaczone dla panien ze wsi, mających, lub mających mieć duże warsztaty pracy; kształcą doskonałe gospodynie dla dużych pensjonatów, lub zastępczynie pań w domach zamożnych. Mamy szkoły specjalnie kucharskie, jak na przykład szkoła zasłużonej wychowawczynie całych pokoleń gospodyń, pani Marty Norkowskiej.

Dla dziewczyn z ludu stoją otworem doskonale zorganizowane szkoły rządowe gospodarcze, w których uczennice starszych oddziałów szkół powszechnych uczą się całokształtu gospodarstwa, nakoniec kilka szkół kucharskich kształci służące. Ale panna z inteligencji niezamożnej, któraby chciała się nauczyć oszczędnie, a praktycznie prowadzić swoje skromne gospodarstwo, — dotąd literalnie nie miała się gdzie zwrócić. Nie chodziło jej przecież o to, aby się nauczyć tylko dobrze gotować, lecz aby umieć sobie samej poradzić i z praniem, i ze sprzątaniami, potrafić kupić potrzebne produkty, obliczyć koszt utrzymania, ułożyć i wykonać skromny budżet domowy, utrzymać w porządku, wycerować, wyłatać, wyczyścić ubranie rodziny, aby jaknajdłużej trwało i przyzwyczajenie wyglądało. Przyzwyczajenie wyglądało to jest warunek, konieczny dla ludzi z pewnymi przyzwyczajeniami, pewnymi wymaganiami kulturalnymi. Samo przez się umiejętne wykonywanie robót domowych wcale nie jest trudniejsze od każdego sportu i napewno łatwiej jest sprzątać, niż zajmować się lekkoatletyką, pracą, niż wiosłować: rzecz to tylko przyzwyczajenia.

Prace domowe, wykonywane umiejętnie i przez osoby inteligentne, nie będą bardziej męczące od każdego sportu. Trzeba tylko mieć gdzie posiadać tę umiejętność.

Z pomocą tym żadnym nauczania się praktycznego, a oszczędnego gospodarstwa, postanowiła przyjąć przełożona państwowego seminarjum gospodarstwa pani Bieńkowska. Zaczę więc od tego, że słów kilka o tem seminarjum powiem. W Warszawie, przy ulicy Nowowiejskiej pod numerem 43 istnieją dwa seminarja nauczycielskie: gospodarcze i rzemieślnicze. Kształcą one specjalnie nauczycielki gospodarstwa i rzemiosła dla szkół zawodowych, których mamy już w Polsce przeszło czterysta; to też za potrzebowanie takich nauczycielek jest ogromne. Niestety, jak dotąd, brak miejsca nie pozwolił przygotować ich dostatecznej ilości. W trzech niedużych pokojach, (największy, tak nazwana sala, nie przewyższa rozmiarami przeciętnego saloniku warszawskiego), mieszczą się trzy kursy, i tłoczą się, jak mogą aż 108

kandydatek na przyszłe krzewicielki nauki racjonalnego gospodarstwa.

Przy ulicy Rozbrat buduje się wspaniały gmach, w którym, jeśli da Bóg, a nie staną na przeszkodzie żadne strajki, ani inne zaburzenia, za rok jakiś znajdą locum całe zastępy młodych kobiet, żadnych pracy zarobkowej i ideowej, — na ideowość bowiem pracy każdej przyszłej nauczycielki ich szanowna przełożona przedewszystkiem nacisk kładzie. Jako przyszłe wykładowczynie, muszą się wychowanki seminarjum przygotować przedewszystkiem teoretycznie. Studują więc pedagogję, naukę o prawach i obowiązkach obywatelskich, higienę, chemję i towaroznawstwo w zakresie gospodarstwa domowego i t. p., połowa jednak czasu poświęcona jest zajęciom praktycznym.

Kuchnia i piekarnia, wyrób wędlin i konserw, pranie i prasowanie, sprzątanie i czyszczenie, cerowanie, łatanie, szycie bielizny i najprostszyc ubrań, zabierają nie mniej, niż cztery godziny dziennie. Na gruntowne opanowanie tego programu zużywają przyszłe nauczycielki trzy lata czasu.

Kobiety, chcące nauczyć się prowadzenia własnego gospodarstwa, nie mogą sobie na taki zbytek pozwolić. Pani Bieńkowska powzięła zamiar otwarcia kursu jednorocznego dla kobiet ze średnim wykształceniem. Mimo ciasnoty, miejsce znaleźć się musi i znajdzie się. Doskonale wyrobiony personel, wszelkie pomoce techniczne, urządzenia gospodarcze już są na miejscu i będą oddane na usługi przyszłych słuchaczek.

Program obejmuje: chemję, fizykę i towaroznawstwo w zakresie, potrzebnym praktycznej gospodyni, higienę — tak u nas dotąd zaniedbaną, buchalterję w zastosowaniu do rachunków domowych, kalkulację, właściwie dotąd gospodyniom nieznaną, teorję gospodarstwa, obowiązki gospodyni domu, ze zwróceniem specjalnej uwagi na punktualność, której brak zdaje się być jedną z kardynalnych naszych wad narodowych. No, i naturalnie, zajęcia praktyczne: gotowanie, pieczenie, porządki domowe, pranie, prasowanie, cerowanie, łatanie, szycie najprostsze i t. p.

A gdy stanie wielki gmach przy ulicy Rozbrat, i znajdzie się dosyć miejsca dla wszystkich, chcących się nauczyć racjonalnego gospodarstwa, będzie utworzony kurs skrócony, (trzy razy na tydzień w godzinach wieczorowych), dla kobiet, pracujących w przemyśle i handlu, urzędniczek, nauczycielek i t. d.)

Serce się raduje na myśl, że nakoniec pierwszy początek zrobiony, że wkrótce zobaczymy pierwsze rezultaty tego pięknego przedsięwzięcia, pierwsze, przygotowane należycie do praktycznego prowadzenia gospodarstwa w dzisiejszych ciężkich ekonomicznych warunkach, kobiety. Mam nadzieję, że za lat kilka nie będą nam imponowały ani teorje zmechanizowania zupełnego zajęć domowych amerykanki Christian Fréderick, ani w takt n. użyci śpiewanej wykonywane prace belgijk: — zostanie wypracowany specjalnie polski, do naszych potrzeb, do naszych przyzwyczajen i wymagań dostosowany system gospodarowania, i każda panna, kończąca średni zakład naukowy w szkole, lub po jej ukończeniu, — będzie musiała ten system nauczyć się stosować w życiu.

Będziemy mieli więcej małżeństw i więcej rodzin szczęśliwych i będziemy uniezależnione od coraz gorszej, coraz leniwszej i coraz mniej chętnej służby. Jak cudownie byłoby, żeby oprócz kursów dla panien, które dopiero co skończyły zakłady naukowe, założone jeszcze zostały jakieś, bodaj poobiednie, kursy dla

starszych osób, które, koleją losów wytracone z dawnych, lepszych warunków, dzisiaj borykają się z trudnościami życiowymi i rady sobie z nimi dać nie umieją.

Pani Elżbieta.



MŁODE KARTOFLE Z SZYNKĄ

Kilo młodych kartofli ugotować i pokrajać w cienkie plasterki. Dwadzieścia deka przeraśniętej szynki przepuścić przez maszynkę i zmieszać ze szklanką kwaśnej śmietany. Nelsonkę wysmarować masłem, układać rzędami kartofle i śmietaną z szynką; ostatni i pierwszy rząd powinien być z kartofli. Osypać tartą bułeczką i wstawić na 20 minut do pieca. Zwykle tej potrawy solić nie trzeba, gdyż ma dosyć soli z szynki.

MŁODE KACZKI Z JARZYNAMI

Młode kaczki, po oskubaniu, opaleniu, starannem oczyszczeniu z supłów i wypaproszeniu, wymoczyć godzinę w wodzie. Osolić zewnątrz i wewnątrz, zrumienić na maśle, lub szmalcu. Tymczasem nakrajać w zgrabne paski wszelkie jarzyny, oprócz kartofli i buraków, a zatem: marchewkę, por, cebulę, kalafjory, kapustę białą, lub włoską, kalarepkę, fasolkę, groszek w ziarnach, lub strączkach i t. p.—na dwie kaczki około półtora kilo jarzyn. Rondel wysmarować masłem, kłaść rzędami pokrajane, jak do podania, kaczki i jarzyny, kładąc jeszcze pomiędzy nie 4 duże, kwaskowe jabłka, pokrajane w plastry; osolić, zalać kilku łyżkami rosółu, posypać trochę majeranku, przykryć pokrywą i dusić, aż jarzyny i kaczki zmiękną. Kaczki ułożyć na środku półmiska, obłożyć jarzynami i podawać. Można podać do tej potrawy sos rumiany z cytryną, lub kaparami.

JAJA INDYCZE FASZEROWANE

Indyczki zwykle w lipcu zaczynają się nieść powtórnie, a ponieważ nie można im dać wysiadywać młodych, gdyż indyczęta, wylęgłe jesienią, byłyby słabe i trudne do hodowania, należy znaleźć dla tych jaj odpowiednie zużytkowanie. Do ciast nie są dobre: ob-

ciążają je nadto; natomiast jako faszzerowane są doskonałe. Można je podawać zamiast pasztecików do zupy szczawiowej i jako samodzielną potrawę na kolację, lub późne śniadanie. Sześć jaj indyckich ugotować na twardo, przekrajać wzdłuż ostrym nożem, wyjąć białko i żółtko, starając się nie naruszyć skorupki. Usiekać bardzo drobno, dodać garść drobno siekanego szczypiorku, tyleż koperku, tyleż bułeczki tartej, spory kawałek masła, jedno jajko surowe, osolić, popieprzyć, wymieszać doskonale; napełnić tym farszem skorupki i przysmażyć napełnioną stroną na maśle do zrumienienia. Podawać gorące. Zamiast smażenia, można te skorupki upiec w piecu, lub pod blachą; w takim razie należy do nich podać sos chrzanowy, lub pomidorowy.

SER ŻMUDZKI

Ze świeżo zarzniętego cielęcia wziąć żołądek,— przez kucharzy „ślazkiem“ zwany, wymyć dobrze i namoczyć go w mocnym occie na trzy godziny. Po wyjęciu z octu opłókać w serwatce, dobrze nasolić, rozpiąć na dwóch drewniakach i suszyć dobrze. Jest to staroświecki sposób, w jaki przygotowywano sery przed laty. Dzisiaj kupuje się gotową podpuszczkę, (płyn, ścinający mleko) w butelkach z dokładnymi wskazówkami, jak tej podpuszczki używać. Kto jednak nie wyrabia serów na sprzedaż, a chce tylko kilka, lub kilkanaście sztuk zrobić na domowy użytek, może doskonale użyć starego sposobu, gdyż małych porcyj podpuszczki w handlu niema, a duże są kosztowne.

Na cztery godziny przed zaczęciem roboty kładzie się ten cielęcy żołądek do serwatki i stawia w cieple. (Można ten żołądek użyć trzy razy, każdy raz po wyjęciu z serwatki soląc go nanowo i przesuszając, rozpięty na drewniakach). Na piętnaście litrów mleka, przyniesionego wprost z obory, dolać dwa litry śmietanki z uprzedniego udoju, zagrzać do temperatury 20° R., wlać dwa litry serwatki (podpuszczki) wymieszać dobrze drewnianą łopatką, zdjąć z ognia. Gdy się mleko zetnie w twaróg, ostrożnie ręką ściągać go w jedną bryłę, starając się nie pokruszyć, gdyż od tego zależy smak i dziurkowatość sera. Serwatkę przytem ostrożnie odlewać. Ręką też odcisnąć resztę serwatki z sera i przełożyć go do czworokątnej skrzyneczki, o dziurkowatym dnie, wyłożonej zmoczonem płótnem. Ułożony ser przykrywa się porządnie tem samym płótnem, uważając, aby nie było w niem fałdek dużych, które zepsuć mogły kształt sera, przykryć dopasowanem deneczką, na to położyć ciężarek, powiększając go co godzin kilka, w miarę tego, jak się ser ulega. Gdy ser stężeje, co zwykle po 24 godzinach następuje, wyjmuję się go, naciera ze wszystkich stron miałką solą, układa na półkach, przykrywając muślinem od much. Przez dwa dni nacierać codziennie ser solą, przewracając na wszystkie strony, aby równomiernie obsychał. Przez dwa tygodnie ser powinien leżeć na półce, w ciepłej spiżarni; potem należy go obmyć w serwatce, obsu-

Dr. med. J. ŚWITALSKA ZAWIADAMIA, ŻE W LIPCU PRZEBYWAĆ BĘDZIE W GDYNI. W WARSZAWIE ZASTĘPUJE JĄ PRZEZ

TEN CZAS W ORDYNACJI I ZABIEGACH KOSMETYCZNYCH ASYSTENTKA KRUCZA 31 OD 5 - 7

zyć dobrze, zawiązać w płótno, umaczone w piwie lub osolonej wodzie i przenieść do piwnicy. Co parę tygodni obmywać go w serwatce, osuszać przez godzin kilka, znów zawiązać w wilgotne płótno i trzymać w suchej piwnicy. Po sześciu tygodniach jest dobry do jedzenia, — zczasem nabiera ostrości i staje się smaczniejszym. Sery takie, robione w czasie upałów letnich, najlepiej się udają. Zimowe są dużo mniej smaczne; zresztą zimą mleka jest mniej i jest ono dużo droższe: nie warto go, więc, wtedy przerażać na sery na użytek własny.

GROSZEK ZIELONY PO FRANCUSKU

Litr wyluskanego młodego groszku przebrać starannie, aby nie było ziarenek, nadsutych przez robaczki; zalać taką ilością wrzątku, aby tylko objęło, włożyć twardą główkę sałaty i trzy młode całe cebule, osolić, dodać łyżkę cukru, łyżkę masła i dusić w otwartym rondlu, aż groszek zmięknie, a sos do połowy się wysadzi. Francuzi wraz z groszkiem podają sałatę i cebulę; do naszego gustu przypadnie raczej sam groszek po usunięciu obu tych dodatków, których rola kończy się na nadaniu specjalnego smaku tej potrawie. Groszek taki obłożyć grzankami przysmażonymi z bułki, kotlecikami z drobiu, ryby, lub mózdzku.

„JAM“ (dżem) AGRESTOWY

Na dżem („jam,„) bierze się dojrzały agrest czerwony. Najbujniejszy agrest oczyścić z ogonków i szypulek kwiatowych; powinna go być połowa całej ilości, przeznaczony na konserwę. Drugą połowę mniej ładnego owocu rozgotować na papkę i przetrzeć przez sito. Ponieważ dojrzały agrest jest bardzo słodki, wystarczy wziąć osiemdziesiąt deka cukru na kilo owocu. Ugotować syrop, biorąc dwie szklanki wody na kilo cukru, wrzucić weń przetartą marmeladę i całe owoce, dodać kawałek wanilii dla zapachu i gotować wolno, często od dna mieszając, aż owoce i marmelada staną się przezrocyste. Dodać na każde kilo konserwy pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, i gorącą masę składać do dobrze ogrzanych słoików. Dopiero dnia następnego, gdy zupełnie wystygnie, zawiązywać pergaminem.

Pani Elżbieta

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Wiśniaczka. Na tego rodzaju intymne (zbożenia) zapytania na łamach „Bluszczu“ odpowiedzi dać nie możemy. Po nadesłaniu dokładnego adresu, wyślemy list prywatny.

Czytelniczka z Pińska. Z powodu niepodania adresu odpowiedź nie może być udzielona. Prosimy o ponowne napisanie i podanie dokładnego adresu.

Stała prenumeratorka „Bluszczu“ C. T. Zamość. Odpowiedzi udzielić nie możemy z powodu niepodania adresu. Poza tym pytanie niejasne: elektroliza czego? włosów? ile włosów. brodawki itd.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

KTO CHCE PRZYGOTOWAĆ PRARTYCZNE ZAPASY ZIMOWE, MUSI NABYĆ KSIĄŻECZKĘ

p. t.

„JARZINY NA ZIMĘ“

W opracowaniu p. ELŻBIETY.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysłała Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KAŻDA KOBIETA USZYJE I OZDOBI SAMA SWOJA BIELIZNĘ, JEŻELI KUPI KSIĄŻECZKĘ

p. t.

„Wykwintna i praktyczna bielizna“

CENA 1 zł 50 gr.

Wysłała Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.